



SPIS RZECZY

PUBLICYSTYKA

Grzegorz Reiwer, *O tej, co rzuciła Stalinem* 5

Wiktoria Kraszewska, *wojna vintage* 24

Mikołaj Wróblewski, *Podróż przeszłością* 26

Agata Denicka, *Do Klienta* 29

Kacper Kudzia, *Nowe szaty królów – trend odnawiania kultowych gier wideo* 35

NAUKA

Paulina Jarmuszkiewicz, *Gdzie jest miejsce na improwizację? O romantycznych improwizacjach w kontekście wybranych definicji widowiska kulturowego* 50

Paweł Kwiatkowski, *Historia przekładów Księgi Koheleta do XX wieku* 57

UTWORY ARTYSTYCZNE

PROZA

Mari Hordejuk, *Okradam ulicę* 68

Paweł Kwiatkowski, *Tu nie ma miejsca dla świętych* 71

POEZJA

Mateusz Ptaszyński, *Piłem whisky z Morrisonem w L.A.* 75

Anna Słomińska, *„Gennara”*, *Cieśla* 76

Maciej Rydzewski, ***** 78

Grzegorz Reiwer, *Widoczny mężczyzna* 79

Grzegorz Legawski, ***** 80

Krystian Dominiczak, *Bez słowa* 81

Bartłomiej Pacynkar Kwiatkowski, *Rapsodia i Nokturn. Poemat w dwóch rozdziałach* 83

GALERIA

Alicja Wiśniewska

Melancholia **91**

Z kotem **91**

Miałeś kiedyś sen... **92**

Oświecenie 1 **93**

Oświecenie 2 **94**

Wieża Babel **95**

Wolność **96**

Założenie **97**

Anna Kosmała

[bez tytułu] **98**

[bez tytułu] **99**

GALERIA AUTORÓW 101

Redaktor naczelna: Dorota Pokorska

Redaktor działu publicystyki: Kacper Kudzia

Redaktorka sekcji literackiej: Wiktoria Kraszewska

Redaktor sekcji kulturowej: Paweł Kwiatkowski

Redaktorka sekcji filozoficznej: Patrycja Felczak

Redaktorka działu naukowego: Weronika Kiczela

Redaktor działu artystycznego: Krystian Dominiczak

Kierownik działu edytorskiego: Magdalena Kalwińska

Sekretarz redakcji: Julia Kędziora

Redaktorzy i redaktorki, korektorzy i korektorki: Konrad Abramczyk, Sara Domeracka, Krystian Dominiczak, Maria Foryś, Magdalena Kalwińska, Julia Kędziora, Martyna Rolbiecka, Maciej Rydzewski, Marta Stencel

Projekt: Sara Domeracka, Magdalena Kalwińska, Maciej Rydzewski, Marta Stencel

Skład: Magdalena Kalwińska, Maciej Rydzewski, Marta Stencel

Projekt okładki: Marta Stencel

Ilustracja na okładce: Alicja Wiśniewska, *To be happy*

Kontakt do redakcji: dzielacytowane@gmail.com

Nr 2/2025

Gdańsk 2025

Drodzy Czytelnicy,

jest nam niezmiernie miło oddać w Wasze ręce drugi numer „Dzieł cytowanych”, odkrywający różne, ciekawe interpretacje pojęcia vintage. Cieszymy się, że zaproponowany temat przewodni spotkał się z tak dużym zainteresowaniem. Z tego miejsca chciałabym podziękować wszystkim młodym pisarzom, publicystom, poetom i artystom, którzy zdecydowali się wysłać do naszej redakcji swoje dzieła. Jestem pewna, że teksty zaproponowane w tym numerze (często niekonwencjonalne) będą dla Państwa zachwycające.

Vintage dla nas – humanistów – to niezwykle ważne pojęcie pojawiające się w kontekście literatury czy sztuki w ogóle. To, co już minione, kształtuje światopogląd, inspiruje i oddziałuje na wyobraźnię, która poruszona przez „bodziec artystyczny” może stworzyć coś nowego i niespotykanego. Vintage wiąże się również z tęsknotą za tym, co bezpowrotnie przeminęło. Poczucie straty nieokreślonego stylu, muzyki, języka czy nawet sposobu pisanie poezji jest trudne do wytłumaczenia, ale dzięki możliwości odtworzenia tego, co pozornie już nie ma prawa zaistnieć, radzimy sobie z żałobą za minionym, dajemy przeszłości metaforyczną szansę na nowe życie.

W tym numerze będą mogli Państwo między innymi napić się whisky z Jimem Morriso-
nem czy snuć refleksje nad codziennymi przedmiotami, które widziały więcej, niż mogłoby
nam się wydawać. W dziale artystycznym odnajdą Państwo pierwszy odcinek tekstu proza-
torskiego, którego sposób publikacji również jest bardzo vintage – symbolizuje nasz hołd
wobec prasy pozytywistycznej i napędza nas do dalszego tworzenia. Dział publicystycz-
ny natomiast zaoferuje Państwu wciągający reportaż zanurzony w zindywidualizowanej
przeszłości, bo historia to nie tylko wydarzenia zapamiętane zbiorowo, ale również dra-
maty, trudności i radości każdego z osobna. To tylko niektóre z tekstów, które oferujemy
w tym numerze.

Pragnę podziękować całej redakcji, a przede wszystkim edytorom, którzy z największym
staraniem i sumiennością pilnują, aby teksty pojawiające się w naszym czasopiśmie trafiły
do Państwa w jak najlepszej i najbardziej przystępnej wersji. Mam nadzieję, że zapropo-
nowane teksty skłonią Państwa do refleksji, przede wszystkim nad tym, co minione. Zapra-
szam również do śledzenia podcastu i innych poczynań naszej redakcji w social mediach.

Dorota Pokorska

Redaktor Naczelna „Dzieł cytowanych”

PUBLICYSTYKA

GRZEGORZ REIWER

O tej, co rzuciła Stalinem (część pierwsza)

Jesień sprzyjała, dlatego babcia¹ kazała Bronisławie wyjść za mąż. Sprzeczały się o to w spiżarni, sprawdzając, czy wystarczy kminku na nowe chleby, czy nie lepiej odłożyć go trochę na kapustę. I na mięsa, przypominała Bronisława, żeby razem z cząbrem i tymiankiem zносиły swoje towarzystwo, inaczej smak będzie nie do zniesienia. Babcia rozumiała aluzję, ale powstrzymała się od komentarza. Zapisywała suszone zioła w kajecie. Pięć płóciennych sakwiczek² i trzy lniane z suchym i skruszonym lubczykiem, rozmarynem, dziurawcem, szałwią i intensywną miętą. Nad nimi wisiały pęczki majeranku i tymianku. Sztuk sześć. Bronisława odsłoniła stojące za nimi na półkach po trzy brązowe kapczuki³ w trzech rzędach, mniejsze, ale pękate. Beczułki półlitrowe z goździkami, solą i pieprzem oraz pieprzem mieszanym. Jedna ceramiczna faska⁴, z której, ku dezaprobowaniu babci, Bronisława starła kurz ręką. Najbardziej dumne były z przywiezionej z Wilna różowej bryły soli himalajskiej. Podobno tubylcy zbierają ją wysoko aż pod niebem, ponad chmurami, chroniąc się przed zimnem jedynie futrami z dzikich kotów górskich, wczepieni w lodowiec hakami – tuż nad nieskończoną przepaścią.

Wreszcie Bronisława nie mogła znieść metodycznej pracy i usiadła na kadziubku⁵, skąd zwłaszcza zimą czerpały kiszonki. Druga drewniana beczka skrywała smalec, inna miód

¹ Aleksandra Domeyko.

² Sakiewki.

³ Kapczuk [капчык] ‘mieszek, sakiewka’ (SumB, LLw), kapszук [кануык] ‘woreczek, torebeczka’ (SumB, LLw), pol. kapciuch/kapczuk/kapszук ‘torba, worek na tytoń’.

⁴ Fasa (od niem. Fass – beczka) – duże drewniane naczynie dawniej używane do przechowywania produktów spożywczych. Najczęściej wykonane z klepek dębowych, bukowych bądź sosnowych, spiętych obręczami z bednarki stalowej, a wcześniej z leszczyny.

⁵ Kadziubek – drewniany pojemnik używany do przechowywania miodu, smalcu, kiszzonek.

z lubelskich pasiek. Siedziała pochylona, z łokciami na kolanach. Nie mogła się oprzeć, bo za sobą miała kotarę, która skrywała drugą część obszernej spiżarni, dumy Domeyków i twierdzy babci. Zajmowały ją dwudziestolitrowe kłodzienie⁶ z mięsem w solance. Niewiele większa ceramiczna stągiew czekała na tegoroczny ubój. Kiedy razem kupowały ją od Żyda w miasteczku, zdziwiła się, na co im kolejna i czy aby wystarczy na nią miejsca, ale kiedy o to zapytała, babcia jedynie tajemniczo się uśmiechnęła. Bronisława nie mogła przypuszczać, że kilka miesięcy później, zamiast gotować się do wyjazdu na kwaterę do Wilna, usłyszy po raz pierwszy imię męża, obcego jej człowieka, a zaraz po tym nieodległą datę. Jej wolność dobiegała końca.

Tak wyobrażała sobie tamten dzień mała Danusia, mając dziewięć lat, gdy obserwowała, jak mama słucha opowieści ojca, a zarazem nie słucha, zajęta rozpuszczaniem grubego warkocza przed toaletką. W lustrze wymieniały się porozumiewawczymi spojrzeniami i w końcu ojciec, znużony utyskiwaniem na przydziały pasz dla regimentowych koni, postanowił sprawdzić, czy jutrzejszy kulig został przygotowany. Wzwał ponownie wysokie kozaki i wyszedł na sień, wołając ekonoma.

– Małżeństwo moich rodziców nie było udane – powiedziała prawie dziewięćdziesiąt lat później pani Danusia. Sopotnie mieszkanie, z salonem i pokojem dla opiekunki, dalece różniło się od wspomnienia majestatycznego siedliska Domeyków na Zyburtowszczyźnie⁷.
– Moja mama nie chciała wyjść za mojego ojca. Nie odpowiadał jej, był ułanem. Wie pan, jacy są wojskowi. Inni. Sztwywni. I te ich rozkazy. W domu miało być to i to, nie co innego. Ale babcia moja była bardzo silną kobietą i stało się tak, jak sobie tego zażyczyła.

W dniu ślubu okazało się, że nie może do niego dojść, ponieważ... zaginęła panna młoda. Bronisławy szukali wszyscy, goście i służba, a ogrom dworku i jego liczne tajemnice, narosłe na przestrzeni setek lat urzędowania w nim kolejnych pokoleń, nie pomagały. Na pierwszy ogień poszła spiżarnia, gdzie udała się zestresowana Aleksandra. Cemu? Pani Danusia podejrzewa, że babcia tylko tam czuła się jak u siebie.

– Oczywiście rządziła majątkiem. Ale dopiero przy nalewkach orzechowych, zalakowanych wiśniówkach, kompotach w słoikach, occie jabłkowym w butelce z korkiem albo podczas sprawdzania wiszących półeczek z egzotyczną kawą, cynamonem, wanilią i szafranem znajdowała rozwiązania, które innym nie przyszłyby do głowy nawet sto lat później.

Babcia nosiła długie, siwe włosy, zawsze zwinięte w ciasny kok. Bardzo piękne. Podobne jak u Bronisławy. Myśl o niej sprawiała, że często sięgała po różaniec. Zawsze po południu

⁶ Kłodzień – drewniany duży pojemnik używany głównie do kiszenia kapusty i przechowywania miodu lub mięsa w solance.

⁷ Zyburtowszczyzna vel Żyburtowszczyzna vel Żybortowszczyzna – niedaleko miasteczka Działowo w zachodniej Białorusi (powiat/gmina: Zdzięcił/Nowogródek). Majątek należał do babci pani Danuty, Aleksandry Domeyko. To tam Adam Mickiewicz spędzał czas, m.in. w okolicach 1819 r. Właścicielami w 1937 r. byli: Aleksandra Domeyko, Henryk Domeyko, Leon Domeyko, Maria Rumerowa, Celina Sewerynowa, Bronisława Romatowska (mama pani Danuty); za: https://kresy.genealodzy.pl/programy/wykaz_z_kresow2.pdf.



Zdj. 1. Pani Danusia. Archiwum prywatne.



Zdj. 2. Bronisława Domeyko, mama pani Danusi.
Archiwum prywatne.



Zdj. 3. Marian Romatowski, ojciec Pani Danusi. Archiwum prywatne.

nie wolno było wchodzić do pokoju babci, bo się modliła. Dała nawet na własne ławki w kościele. Wtedy nikogo to nie dziwiło. Cała rodzina siadała w nich na mszy.

Lata później kościół w Działowie nawiedził nowy ksiądz. Młody i od razu po studiach. Wyszedł z zakrystii z kolegą, w drodze do ołtarza spojrzął w stronę Domeyków i zatrzymał się na widok Bronisławy. Obraz pięknej brunetki z czarnymi oczami i warkoczem do połowy łydek zupełnie nim zawładnął. Tak długo się w nią wpatrywał, że kolega musiał go szturchać, by szedł dalej. Potem dowiedział się, gdzie mieszkają Domeykowie, i zaczął nachodzić rozwiedzioną już wtedy Bronisławę. Przeprowadziła z nim wówczas poważną rozmowę i wybiła mu z głowy – stanowczo, acz grzecznie – jakiegokolwiek zaloty.

– Ciocia powiedziała mi kiedyś, że mama miała bardzo duże powodzenie. A jej nie w głowie byli mężczyźni. Miała zupełnie inny charakter. Żyła we własnym świetle. Z wykształcenia polonistka, tak też pracowała. Pisała wiersze o miłości. O miłości je pisała, tak. Dziwne, nieprawda? Taka piękna, ale też chyba smutna – mówi i pokazuje zdjęcie w sepia.

Kiedy babcia w spiżarni zastanawiała się nad poustawianiem konfitur według alfabetu, goście, w tym rodzina przyszłego zięcia Mariana i jego podkomendni, wszyscy wojskowi co do jednego, z błyszczącymi butami kawaleryjskimi, zaczęli szukać Bronisławy w stajni i za zabudowaniami gospodarczymi. Nie znaleźli jej, także gdy komuś wydawało się, że pomiędzy lipami w parku widział uciekającą boso pannę z kwietną koroną na głowie. Od razu ktoś rzucił, że to musiała być południca lub inne upiorzysko. Kilku pijanych ułanów zaczęło wyciągać szable zza skórczanego pasa, ale poplątały im się z ładownicami, które nielegalnie wzięli na imprezę cywilną.

Pani Danusia kręci głową i mówi dalej, ściskając w rękach jedyne zachowane zdjęcie swojej mamy:

– Czasami zastanawiam się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby uciekła dalej. Nie oglądała się, tylko szła przed siebie. Jechała, aż skończą się jej pieniądze. Przecież mogła dawać lekcje. Pomagać w szpitalach, bo znała się na ranach.

Po chwili milczenia pani Danusia ciężko wzdycha i kontynuuje:

– Niestety, znaleźli ją. Nie popisała się ta moja kochana mama wyobraźnią i rozmachem. W jednej z szaf, w jednym z najbardziej oddalonych pokoi, znalazła ją roznosząca prześcieradła pokojówka. Babcia zaraz przysłała i na siłę ją ubrali. Z mężem nic o sobie nawzajem nie wiedzieli. Ojciec kojarzył mi się z kurtką z wysokim kołnierzem i szarawarami, takimi wpuszczonymi w wysokie buty spodniami. Z jaką on dumą obnosił się z rogatywką ułańską. Orzełek na niej zdawał się lśnić wewnętrznym blaskiem. Szabli nie pozwalał mi dotykać i nie widziałam, żeby ją wyciągał. Może na jakichś świętach lub paradach to robił, ale mnie i mamę one omijały. A może raczej my omijałyśmy ojca i jego zajęcia. Nic o sobie nie wiedzieli. I nie chcieli wiedzieć. Nic a nic. Z drugiej strony, gdyby do ślubu nie doszło, nie byłoby mnie i tej rozmowy – kończy z szerokim uśmiechem.

Pani Danusia miała dziesięć lub jedenaście lat, gdy – już po rozwodzie – zamieszkała z mamą w Wilnie. Chodziła tam do przedszkola, a później do szkoły. Na jakiś czas zostawiły

za sobą majątek, jaki Ignacy Domeyko, zakochany niegdyś w babci, podarował jej, by na dwunastu pokojach była panią. Babcia zaś po spiżarni najbardziej lubiła szklaną oranżerię. Dzięki wbudowanemu w nią kominkowi można było tam siadać w fotelach i grzać się nawet podczas zimy.

– Wie pan, ja byłam wychowana jako jedynaczka. Przez wszystkie kobiety, mamę i jej siostry. Oczywiście zawsze mi wmawiały wiarę, ciocia też mnie często Bogu polecała. Wujek ze mną do kościoła chodził. Nauczyciele byli inni. Wie pan co, naprawdę, jak ja sobie przypominę, to nie chciałam kiedyś śniadania jeść, jak u babci byłam. Ale tylko u babci. Jednego lata wyprosiłam mamę, żeby od niej nie wyjeżdżać. To mama pojechała sama do Wilna, bo wykładała język polski, a ja chciałam zostać u babci, bo bardzo lubiłam zimę. Taką prawdziwą zimę. Były saneczki, dzwoneczki, konie z powozem. Jeździliśmy do kościoła, do miasteczka. U babci w majątku zostałam rok.

– Czy babcia miała dużo koni? Tak, wszyscy przyjeżdżali do niej i jeździli na jej koniach. Babcia nimi handlowała, to była bardzo mądra kobieta, umiała utrzymywać gospodarstwo. Każdy kwiatek w swoim ogrodzie znała. Na jesień i zimę robiła nalewki, lekarstwa. Miała taką spiżarnię, do której z korytarza się wchodziło. Ogromne pomieszczenie z regałami. Stały tam leki na anginę, na brzuszki, na nerki. Babcia umarła po wojnie. Mieszkała u najmłodszej córki, która została nauczycielką matematyki w Międzyrzeczu w Poznańskim. Też do nich jeździłam. Babcia umarła, mając osiemdziesiąt osiem lat. Odwiedziłam ją wtedy w szpitalu. Od sześciu lat byłam po rozwodzie.

W międzywojniu Bronisława z córką odwiedzały babcię na krótko, na przykład podczas wakacji. To tam zastała je druga wojna światowa, przez co nie mogły wrócić do Wilna. Wynajęły pokoik u Żyda w miasteczku, z powodu jakiegoś nieporozumienia mamy z babcią. Mały był, mieścił ledwo dwa łóżka, oba ustawione bokiem, żeby można było między nimi chodzić. W 1939 roku przyjechała latem również koleżanka mamy ze studiów. Bronisława niedługo potem zaczęła kaszleć i babcia zabrała ją do szpitala. Koleżanka nie od razu przyznała się, że chorowała na gruźlicę. Nie udało się nic więcej z tym zrobić, a do tego Rosjanie zaczęli wywózki na Sybir, więc musiały uciekać.

– Uciekałam z mamą i swoją nianią, a babcia z siostrą, ale one gdzieś indziej i dalej uciekły. Nie pojechałyśmy razem. Mama wtedy już zaczęła prątkować. Zaczął się rok czterdziesty i zimą gruźlica zajęła całe jej ciało. A ja nie zaraziłam się, chociaż raz wypłam wodę z jej kubka. Zrobiła mi o to awanturę. Mówiła, że mam przecież wszystko swoje. Lekarz łąpał się za głowę. Jeden taki starszy poklepał mnie i mówił: „Dziecko, ja teraz będę wierzył w cuda, bo to niemożliwe, żebyś nie chorowała”. Dwa razy mnie prześwietlali. Może miałam jakąś obronę tam w niebie?

Wspomina od czasu do czasu jedną z ostatnich spokojnych chwil spędzonych w tamtym małym, dusznym pokoiku. Siedziała na swoim łóżeczku, a mama leżała.



Zdj. 4. Pani Danusia w dzieciństwie (po prawej).



Zdj. 5. Siostry z Domeyków (Bronisława Romatowska pośrodku). Archiwum prywatne.

– Niania mówi do mnie, do nas, że nie ma już pieniędzy. Wszystko się skończyło. Za co kupić? Co robić, Broniu? Tak nazywała moją mamę. A ja, że byłam mała i chciałam być jak dorosła, to odpowiedziałam: „A na żebry?”. Niania uznała, że to dobry pomysł. Ale czy ja w ogóle pójdę? Powiedziałam bardzo stanowczo, że oczywiście, pójdę. Dlaczego to powiedziałam? Chciałam uratować mamę. Tak jak ona ratowała innych. Czasami jak przyjeżdżała do babci na wakacje, to mama pomagała jako pielęgniarka. Zastrzyki umiała robić, bandaże i opatrunki zmieniać. Na koniu jeździła po wsiach niedaleko. Wszyscy czekali na nią. Nie szli do szpitala, liczyli na mamę, a ona pomagała. Oczywiście za darmo, nie brała pieniędzy. Nawet pamiętam awanturę, jaką babcia zrobiła mamie o to całe jeżdżenie. Ale nie tylko o to. Raz bardzo się pokłóciły o prezent.

Chodziło o sukienkę. Babcia kupiła ją specjalnie dla niej. Była z pięknego, zdobionego i drogiego materiału, ale Bronisława wsiadała w niej na konia jakby to był strój do jazdy, a nie na bale. W jednej z odwiedzanych wsi zaczęła ją młoda dziewczyna. Powiedziała: „Pani kochana, jaka przepiękna sukienka! A ja biorę niedługo ślub. Ach, żeby w takiej sukience!”.

– Mama zmieniła jej opatrunek, bo była ranna. Poszła potem do drugiego pokoju, ściągnęła sukienkę i w samym fartuchu podeszła do tej dziewczyny i powiedziała: „Masz, będziesz piękna na swoim ślubie”. Moja mama taka właśnie była, wszystko by oddała dla biednych. Tyle serca miała dla innych. Babcia krzyczała, awanturę zrobiła, a mama dalej swoje.

W czterdziestym roku obchodziły ostatnie wspólne Boże Narodzenie.

– Lekarze powiedzieli, że już czas, lada dzień. Płuca były zajęte. Mama strasznie prętkowała, bardzo słaba już była. W tym miasteczku było niedaleko Wilna, Druskienniki, nie było szpitala, tylko lekarze. I sanatorium. Mój ojciec był wtedy w obozie litewskim. Brał udział w wojnie. Mógł wyjść, ale gdzie? On się dowiedział później o mamie.

Brat Bronisławy, Leon⁸, został zmobilizowany, więc uciekł do lasu. Mieli stały kontakt z ludźmi od zrzutów. Przesyłano białe kożuski na konie, bo zimno to też był wróg. O koniach i samych działaniach oddziału Leona pani Danusia wiedziała niewiele. Wehrmacht się tam nie zapuszczał, jeśli nie musiał, z powodu partyzantki, polskiej i rosyjskiej, walczącej w lasach.

– Pamiętam, jak z domku cioci widać było drogę, a więc też, gdy ktoś z lasu wychodził. Wujek został w lesie. Niby dalej walczyli, ale było bardzo spokojnie. Tam był na przykład proboszcz, ksiądz. Wszyscy z Wilna puciekali do nas. Taka Duszyńska, Milicka, prosię pana, bo tam mieli dużo majątków. Niemcy raczej robili tylko handel. Babci kazali przygotować kury lub mleko na przykład, ale płacili. Było spokojnie, bardzo spokojnie, tak jakby bez tej wojny. I miasteczko nie było bombardowane, pan sobie wyobraża, a szkoły, oczywiście, z językiem niemieckim. Od czasu do czasu Niemcy urządzali łapanki młodych ludzi.

⁸ Chorąży „Kontrym” Leon Domeyko.

Kiedy Bronisława zmarła, pani Danusia została sama z nianią i bez pieniędzy. Jej ojciec wkrótce dowiedział się o wszystkim. Z Wilna jechało akurat do miasteczka młode małżeństwo. Chcieli otworzyć sklep, bo w mieście się nie opłacało. Ojciec Danusi skądś ich znał i poprosił, żeby przekazali list.

– Jak państwo powiedzą nazwisko Domeyko, to może ktoś tam został – mówił – i może moja córka tam jest. Pytać się ludzi. Wszyscy się tam znają.

Niezaznajomione z tamtymi stronami małżeństwo rzeczywiście uzyskało informację od pierwszej napotkanej osoby. Odwiedzili pokoik, oddali list. W nim pani Danusia przeczytała, że ojciec chce ją zabrać do siebie. Bo co będzie robiła sama, skoro wszyscy, cała rodzina, rozsypali się przez wojnę nie wiadomo gdzie. Jeszcze usłyszała od dalekiej krewnej, żeby jak najszybciej do niego jechała. Wtedy uniknie zesłania na roboty. Akurat zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. Małżeństwo, które przywiozło list, na Boże Narodzenie wracało do Wilna, więc mieli zabrać ją ze sobą.

– A więc ja pojechałam do ojca, a ojciec miał nową żonę.

Macochę nazywała cicią, choć ta miała na imię Ziuta i pochodziła z rodziny Jana Kochanowskiego. Z matką wyjechały z Estonii, żeby prowadzić gospodarstwo pod Wilnem.

– Napisały ogłoszenie, że potrzebują kogoś, kto by tym rządził, a mój ojciec akurat wyszedł z obozu litewskiego i na nie odpowiedział. Na drugi dzień, gdy dotarłam do Wilna, przyjechał ojciec z nową żoną i powiedział, że mają jeszcze sprawy do załatwienia na miejscu. Moja macocha kiedyś powiedziała, że płakała całą noc, jak się dowiedziała, że przyjadę. Bała się, czy sobie poradzi. Miała już trzydzieści sześć lat. Minął wtedy rok od śmierci mamy. Niania została w miasteczku razem z cicią Celinką⁹, jej siostrą i mężem oraz córeczką. Zostali wywiezieni, jak przewidywali, na roboty gdzieś w okolicy Olsztyna. Zrządzeniem losu wszyscy wrócili do Zyburtowszczyzny jeszcze za czasów okupacji niemieckiej.

– Macocha była bardzo wykształcona. Lubiła sztukę, ale też haft. Skończyła w Paryżu Akademię Sztuk Pięknych. Była dla mnie dobra, choć nie umiała postępować z dziećmi, własnych nie miała. Bywała więc zimna, ale krzywdy mi nie robiła. Zresztą, dużo jej zawdzięczam. Gdy zaczęłam chodzić do szkoły w Wilnie, to tam były cztery klasy z małą maturą, bo nauka kończyła się w gimnazjum.

W 1945 roku ojciec pani Danusi bał się, że zostaną wywiezieni, więc zlikwidował majątek, spieniężył dobra, których nie udało się wywieźć, i kupił złoto.

– Trzymaliśmy je w butach – mówi pani Danusia z szerokim uśmiechem. – Pierwszym transportem pojechaliśmy do Polski. Ludzie pytali, co wy robicie? Myśmy z cicią wysiadły w Białymstoku. Ojciec pojechał dalej, do Malborka i Sztumu. Warszawa była zrujnowana, prawda? Dojazdy niepewne. Ale on dostał się jakoś, chyba wodą. Zaczął pracę i dostał piękny dom, majątek z sadem i jeziorem. Jak wakacje przyszły, to w tym Białymstoku ciocia

Zdj. 6. Pani Danusia w dzieciństwie.
Archiwum prywatne.



Zdj. 7. Pogrzeb w rodzinie pani Danusi (ona po prawej).
Archiwum prywatne.



odnalazła znajomą, która była dyrektorką gimnazjum. I ona pomogła nam znaleźć mieszkanie w Sztumie. Ojciec nie chciał nas póki co brać, bo to wszystko było niepewne. Przecież nie kursowały pociągi, do Malborka można było się dostać właśnie wodą. Do czerwca zostaliśmy w Białymstoku. A potem przyjechaliśmy do Warszawy i tam zatrzymaliśmy się na Pradze u rodziny malarza Kossaka. On już nie żył, jego najstarszy syn zginął w powstaniu, drugi był w moim wieku. Z nim łąziłam, ciągnął mnie, żebym zobaczyła Warszawę. O Jezuu kochany, jaka ruina. Całe dni żeśmy ją obchodzili.

Kiedy wreszcie ojciec posłał po żonę i córkę, zrobił to tak jak wcześniej, listownie. Napisał, że jest urządzony i mają wsiąść w pierwszy transport na Pomorze. Mogły jechać dzięki licznym w tym czasie kierowcom, oferującym przewiezienie, często za opłatą.

– Przyjechaliśmy do Sztumu od razu, gdzie ojciec został komisarzem. Niemcy wyjeżdżali, pełno domów było. Ojciec był zarządzającym. Rozdział te domy ludziom ze Wschodu, kiedy przyjeżdżali. Wszystko urządzone, od razu do zamieszkania. Pracowała u nas jedna Niemka, która została. Ale to rządy mego ojca niedługo się skończyły.

Pani Danusia podjęła naukę w gimnazjum w Malborku. Szkoła mieściła się niedaleko zamku. Mieszkała najpierw w internacie przez rok. Miała wtedy prawdopodobnie trzynaście lat.

– Bardzo mili państwo. Mieli swoją willę, zrobili pokoik, w którym mieszkałam z koleżanką. Byłam tam cztery lata.

Spokój nie trwał długo, głównie za sprawą współpracy ojca z Zygmuntem Szendzielarzem, ps. „Łupaszko”. W 1939 roku, zamiast zgodnie z planem udać się na Węgry czy do Francji, zawrócił z innymi z Karpat, ponieważ przekroczenie gór okazało się niemożliwe. W Wilnie zawiązał konspiracyjne działanie, ale do podziemi przeszedł dopiero po kapitulacji Niemiec, przeciwko władzy radzieckiej. Samowolnie nakazał w 1944 roku w ramach akcji odwetowej masakrę ludności cywilnej w Dubinkach, w tym kobiet i dzieci. W 1945 roku oddział Łupaszki udał się w okolice Gdańska, gdzie miał zajmować się propagandą wyzwolenczą, ale wolał działania zbrojne, zwłaszcza dywersję. Na przełomie 1945 i 1946 roku major Szendzielarz i grupa jego najbliższych współpracowników osiadła na Powiślu, w okolicach Sztumu – w Zajezierzu, Zielenicach i Chojtach. Korzystała przy tym ze wsparcia znajdujących się na tym terenie byłych członków wileńskiej AK, którzy piastowali stanowiska w Państwowych Urzędach Ziemskich w Sztumie i Malborku. Jednym z nich był ojciec pani Danusi, Marian Romatowski¹⁰. Wszystko wskazuje na to, że dowiedziano się o pobycie człowieka o nazwisku Baranowski w Malborku. Znał go dawny podkomendny Józef Piątek, ps. „Marek”, który w poszukiwaniu pracy miał najpierw pojawić się u swego dawnego dowódcy. Baranowski nie był w stanie mu pomóc i odesłał go do Sztumu, do tamtejszego komisarza ziemskiego Mariana Romatowskiego, także pochodzącego z Wileńszczyzny.

¹⁰ Imię ojca: Konstanty, ur. 2.06.1896 r.

Ojciec pani Danusi nie był żołnierzem AK na tym terenie, ale jako dzierżawca dużego majątku udzielał w 1944 roku pomocy partyzantom 5. Brygady Wileńskiej. To z tego okresu znali go inni bliscy współpracownicy Łupaszki – Waclaw Beynar, ps. „Orszak” czy Regina Mordas, ps. „Regina”. Dzięki pomocy Romatowskiego Piątek został zarządcą majątku Zielenice¹¹.

– Major Łupaszko dowiedział się, że ojciec jest w Sztumie. Znali się z czasów wojny. Ojciec ich karmił, hodował dla nich świnki. Ja to nie zabierałam głosu, żeśmy już z cicią mieszkaliśmy w Sztumie. Ojca niedługo potem aresztowali¹². Dowiedzieli się, że pomagał Łupaszce. Ktoś im powiedział, że na święta Bożego Narodzenia wszyscy jego żołnierze do nas przyszli. Ojciec siedział w więzieniu w Gdańsku przez trzy lata.

Nagle pani Danusia przypomina sobie coś, co wywołuje u niej powrót energii.

– Tam była jeszcze kobieta, Rosjanka. Lalka miała pseudonim. Wysłali ją specjalnie, żeby donosiła, ale odmówiła, bo się zakochała w Łupaszce. Pięknie śpiewała. Po tym, jak Łupaszkę rozstrzelali, Lalka dostała się do Warszawy, skończyła studia medyczne, była nauczycielką. Chyba już nie żyje. Ona jednak nie donosiła. Wie pan, nie, ona była wierna, bo bardzo się zakochała. Łupaszko miał żonę, owszem, i córeczkę, którą opiekowała się jego teściowa.

– Ojciec jeszcze był na wolności, kiedy skończyłam gimnazjum i słyszałam taką rozmowę. Ojciec powiedział do macochy: „A niech krowy pasie, niech pomaga”. A ciocia odpowiedziała, że co on mówi? „Nie ma mowy, Ryśku. Danusia musi mieć maturę”.

Macocha pani Danusi pojechała do Gdańska, gdzie u swoich znajomych zjednała sobie koleżankę z wiedzą co, gdzie i jak. Razem załatwiły przybranej córce miejsce w liceum mechaniczno-elektryczno-chemicznym. Szkoła istniała od dwóch lat.

Macocha zaczęła pracę w mleczarni. Przed śmiercią Łupaszko przysięgał, że pod bronią rozkazywał ojcu pani Danusi.

Po wyjściu na wolność ojca macocha przekonała go, żeby wyjechać ze Sztumu. Wcześniej się zabezpieczyli i załatwili niezbędne dokumenty. Dostali dom w Kwidzynie, gdzie zaczęli hodować lisy.

– Ja byłam już w Gdańsku, bo zaczęłam chodzić do szkoły. Albo już ją skończyłam? Nie pamiętam. Tak, Gdańskie Technikum Zakładów Naukowych. Getezana¹³, otworzyli ją zaraz

11 Mjr Zygmunt Szendzielarz, ps. „Łupaszka”, przybył z Gdańska do Sztumu pod koniec 1945 r. i uzyskał od Mariana Romatowskiego majątek Zajezierze, który stał się pierwszym ośrodkiem wileńskiej konspiracji na tym terenie. Swoje działania partyzanckie dowódca uzgadniał z „Pohoreckim”, który po ewakuowaniu się do Polski stanął na czele odtworzonego „eksterytorialnego” Okręgu Wileńskiego AK.

12 Sygnatura IPN: IPN Gd 284/1020 t. 2; Ojca Pani Danusi oskarżono o to, że w okresie od marca 1945 r. do jesieni 1947 r. w Sztumie współpracował z nielegalną organizacją – Ośrodkiem Mobilizacyjnym Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej, tj. o czyny z art. 86 § 2 kodeksu karnego Wojska Polskiego.

13 „Dawne Centrum Kształcenia Zawodowego I Ustawicznego Nr 1 w Gdańsku powołało Państwowe Liceum Techniczne. W 1947 zespół szkół otrzymał nazwę Gdańskie Techniczne Zakłady Naukowe (GTZN). W roku szkolnym 1945/1946 uczyło się tam 68 uczniów, w 1948/1949 – 650, pierwsi maturzyści (69) ukończyli szkołę w 1948.



Zdj. 8. Siedziba Domeyków w latach 90.

Źródło: <https://historia.rp.pl/historia/art3314431-bialorus-siedziba-domeykow-niszczaje?template=gallery&-photo=6> (dostęp: 6.05.2025).



Zdj. 9. Siedziba Domeyków w Zybartowszczyźnie w 2016 r.

Źródło: <https://historia.rp.pl/historia/art3314431-bialorus-siedziba-domeykow-niszczaje?template=gallery&-photo=6> (dostęp: 6.05.2025).

po wojnie. Tam zgłosili się wszyscy z lasu, którzy byli wcześniej w partyzantce, którzy nie skończyli matury, nie zdążyli albo ci, którzy zdawali maturę, ale nie dostali się na studia, którzy byli już na studiach, ale ich nie skończyli. Różne roczniki. Tam byli młodzi chłopcy po dwadzieścia pięć lat. Ja się dostałam do tej szkoły właśnie do liceum chemicznego. Tylko dziewczyny były w chemicznym.

– Miałam chyba siedemnaście lat, ale wie pan co? To śmieszne. Przeważnie traktowali mnie jak dziecko. Chłopcy tacy mili, sympatyczni. Nikt ze mną nie gadał, wyglądałam jeszcze bardzo młodo. Miałam przyjaciółkę, z którą razem siedziałyśmy. Fajni byli nauczyciele. Dyrektor bardzo sympatyczny.

– Niech pan słucha, kazali mi nieść Stalina na pochodzie. Uważali, że taka dziewczyna niebrzydka, ładna, to niech poniesie. A ja wzięłam tego Stalina i rzuciłam nim. Powiedziałam, że nie będę. I się zaczęło. Kłopoty z ZMP¹⁴. Z tymi, którzy byli za komunistami. I teraz chcieli wyrzucić mnie ze szkoły. Komunistką to ja nie byłam, nie zapisałam się nigdy. I niech pan sobie wyobrazi, to całe koło młodzieży chciało mnie wyrzucić ze szkoły.

Dyrektor, starszy pan z wąsikami i grubymi okularami, poprosił panią Danusię do siebie, powiedział: „Kochana, moje dziecko, moje dziecko. Pamiętaj, możesz myśleć różnie, ale nie pokazuj, bo nie obronimy ciebie drugi raz. Na razie musimy – powiedział – grać komedię”.

Wszyscy nauczyciele podpisali się pod listem w intencji pani Danusi. Dobrze się uczyła i nie było z nią kłopotów wychowawczych.

– Dyrektor to był ludzki człowiek. Naprawdę dobry. W ogóle ta szkoła była bardzo przyjemna. Dużo wspomnień mam z tej szkoły.

Pani Danusia najpierw mieszkała w wynajętym pokoju w zgromadzeniu zakonnicy kościółka. Wspomina małą grupę młodych kobiet, które robiły jej śniadania i dobrze ją traktowały. Żeby jednak iść na zabawę, musiała uciekać przez okno razem z koleżanką. Z rozmarzeniem opowiada o balach, na których grała orkiestra. Nauczyciele tańczyli z żonami. Bawiono się do rana. Czasami przychodziły osoby z opery, artyści.

– Pamiętam swój pierwszy bal. Nie spodziewałam się, bo wie pan, byłam podobno bardzo ładna. Chłopcy na mnie często zerkali. Był taki przedmiot, mechanika. Nic nie mogłam z niej pojąć, czy żeby coś narysować, na przykład obieraczkę do ziemniaków. Ale sobie poradziłam inaczej. Raz chłopcy czekali i mówią, że coś ja taka niewesoła. Mówię, no niewesoła, bo mam kłopot. Pytają: „A jaki ty masz kłopot?”. A ja, że muszę projekt obieraczki zrobić.

W 1951 w ramach reorganizacji szkolnictwa z istniejących w GTZN liceów utworzono czteroletnie technika” (za: https://gdansk.gedanopedia.pl/gdansk/?title=CENTRUM_KSZTA%C5%81CENIA_ZAWODOWEGO_I_USTAWICZNEGO_NR_1_W_GDA%C5%83SKU#).

Także: „Większość kadry pedagogicznej tworzyli nauczyciele Wileńskiej Szkoły Technicznej, która powstała w 1922 r. w Wilnie i również nosiła imię Józefa Piłsudskiego” (za: <https://ckziu1.gda.pl/o-nas/patron-szkoly>).

14 Związek Młodzieży Polskiej – organizacja harcerska utworzona w 1951 r. przez komunistów po zlikwidowaniu Związku Harcerstwa Polskiego.

Zgłosiło się dużo chłopaków. Pamiętam, że przyszli, zrobili ten rysunek. Profesor zadowolony. U nas wykładali profesorowie z Politechniki. Szkoła Wileńska. I ten bal pierwszy. Mówię tak do swojej przyjaciółki, Iwony: „Wiesz co? Nie mam w czym pójść”. Z pieniędzmi wtedy było trudno, przesyłała ciocia mi na życie i opłaty. Koleżanka mówi: „Słuchaj, poradzimy sobie, ja ci będę zawsze przynosiła śniadanie, bo mama robi, a ja jem w domu, a tego przeważnie wcale. Będę ci je oddawała. Tak kupimy sukienkę. Pojedziemy do Gdyni i zobaczysz, jaką sukieneczkę ci kupimy. Musisz wyglądać ładnie”. No i pojechaliśmy. Kupić ją za pieniądze, które ciocia przesała mi na życie.

W tym czasie jeden z profesorów musiał wyjechać i przysłał swojego asystenta, Włodka Kwiatkowskiego, na zastępstwo. Akurat kończyły się egzaminy.

– Zwrócił na mnie uwagę od razu. Ale ja byłem inna dziewczyna. W ogóle on był zdolnym, ciągle gdzieś spóźnionym. Raz czekał przy autobusie. Mówił, że nie zdążył. I zaczął tak ze mną chodzić. Zaczęliśmy zupełnie obojętnie. Iwona, moja przyjaciółka, z którą razem siedziałam w ławce, powiedziała mu o sukience i pieniądzech. On wtedy mówi: „Wiesz co, jestem głodny. Do hotelu pójdziemy”. I potem już tak zawsze było: „Wiesz, Danko, pójdziemy na kawę”, a potem on znowu, że jest głodny, to zamówimy obiad. Ja mu mówiłam, że nie, nie mam pieniędzy. On znowu: „Chodź no, co ty, dziewczyno, będziesz głodna. Ja mam pieniądze”. A on jeszcze dorabiał sobie, był zdolnym zegarmistrzem. Na wszystkich zegarkach się znał, a ludzie do niego przynosili. Kończył politechnikę. I tak było, żeśmy poszli na kawę, potem znalazłam się z nim na obiedzie od czasu do czasu. Oczywiście codziennie nie chciałam, ale nasza znajomość się rozwijała. Choć ja nie taka dziewczyna byłam.

Poszły z Iwoną do sklepu z witrynami na Świętojańskiej, gdzie były same sukienki dla młodych dziewczyn. Wybrały popielatą. Starannie uszytą, dopasowaną, z krążkami.

– U nas były dziewczyny dość bogate, zadbane, a chłopcy chcieli wybrać królową balu. Wszystko było jednak tak umówione, że wygra pewna dziewczyna z drugiej klasy.

Kupiły tę sukienkę. Poszły na bal z Iwoną podekscytowane. Była orkiestra, było bardzo miło. Chłopcy nie pili, nauczyciele pilnowali. Zabawa trwała do rana.

– Kiedy podawano wyniki wyboru królowej balu, usłyszałam swoje imię i nazwisko. Słyszę: „Królową balu zostaje Danuta Romatowska”¹⁵. I było zamieszanie. Zamieszanie! Chłopcy dolecieli, zaczęli do góry mnie podrzucać. Wybrali mnie pomimo wszystko, a nie tamtą ładną. Byłam trochę dumna, bo oczywiście pierwszy sekretarz naszej szkoły musiał zatańczyć ze mną walca, a wszyscy wokoło patrzyli. To był przyjemny bal. Nie spodziewałam się, że mnie wybiorą. Później słyszałam, że właśnie tamta była zarozumiała i nie lubili jej, więc mnie na przekór wybrali. Ale i tak było mi przyjemnie.

Pani Danusia nie potrafiła jednak się przekonać wobec młodego asystenta.

– On przychodził i bajki zaczął opowiadać. Takie różne, żeby mnie zabawić. Nie pozwoliłam na żadne czułości. Bałam się mężczyzn. Mieszkałam wtedy już na Sobótki u takich pań.

¹⁵ Nazwisko Bronisławy, matki pani Danuty po wyjściu za mąż za Mariana Romatowskiego.



Zdj. 10. Chorąży „Kontrym” Leon Domeyko. Wujek pani Danusi, brat Bronisławy Romatowskiej.

Źródło: <https://kpbc.umk.pl/dlibra/publication/234947/edition/233196?language=pl> (dostęp: 6.05.2025).

Też robiły mi obiady. Włodek przychodził tam nieraz swoje farmazony opowiadać. O czym? Jak przeżył wojnę na przykład, bo był z Warszawy. Powstanie przeżył. Zawsze mówił: „Ja jestem wolny”.

O zainteresowaniu ze strony mężczyzn w tamtym okresie swojego życia opowiada w pewnych momentach rzeczowo, w innych podnoszą ją na duchu wspomnienia i widać w niej rozbudzoną chęć do snucia dalszych opowieści, choć rozmawiamy już prawie trzy godziny.

– Zainteresował się mną inny chłopak, też bardzo się we mnie zakochał, więc zaczął wywiad robić. Zdenerwował się, że już się z kimś widuję. A nawet do rodziny mnie swojej zaprosił, żebym poznała. Miał na imię Zygmunt. Jego matka była bardzo sympatyczna, częstowała obiadem w niedzielę. Od razu się na mnie poznała. Powiedziała: „Daj spokój, to nie jest dziewczyna dla ciebie. To jest dziewczyna zupełnie inna”. Mimo to nadal mnie namawiał, choć był już żonaty. Wszystko było w porządku. Przy niej powiedziałam: „ardzo panią poproszę, bo chciałam, żeby pani słyszała to właśnie ode mnie, pani syn jest żonaty i niech nie zawraca mi głowy. Z nami koniec. Koniec. Ja nie chcę pani syna w ogóle widzieć”. A ona zaczęła na niego krzyknąć: „Czemu ty nie bierzesz nadal rozwodu!?”.

– I ona mówi, że tak. On rzeczywiście się ożenił. Młody był, ona starsza trochę była. Ale nie pasowali do siebie, zupełnie nie pasowali. Ona z matką wyjechała do Wrocławia, a on z nią wrócił do Gdańska i teraz Politechnikę kończy. Mówiła, że rzeczywiście nic takiego, dzieci nie mają. To jest niezgodność. Zresztą coś wspominała o chorobie właśnie, że nowotwór. Ale ja powiedziałam, że wszystko jedno. Nie, nic z tego. Że co to znaczy, bo mówił, że jest wolny.

W czasie wakacji pani Danusia pojechała do Opola do wujka Leona, brata mamy. Całą wojnę przeżył w lesie, był w Rosji i z Sybiru cudem udało mu się uciec. Był czterdziesty siódmy lub ósmy. Kochał swoją żonę, Ewę, którą poznał po powrocie do Polski.

– Pod koniec sierpnia ciocia Ewa poszła po zakupy. Ja zostałam, żeby się położyć troszeczkę. Budzi mnie dzwonek. Wie pan co? Otwieram drzwi, a on tam stoi. Włodek. Znalazł mnie. Zapamiętał, że moja mama panięskie nazwisko miała Domeyko. Przyjechał do Opola. Wykombinował, że pójdzie do urzędu, powie, że jest krewnym Domeyko. I dostał adres: ulica Kropidła 8. Pyta, czy może wejść. A ja, że skoro przejechał taki kawał, to może. Trochę popłakał, ale ja nie bardzo słuchałam i powiedziałam: „Słuchaj, jedź do domu. Ja jeszcze nie wracam, zostaję tutaj. Zobaczymy na jesień, jak będzie”. To był mój przyszły mąż. Ewa też go niespecjalnie lubiła. Byłam w Opolu do końca wakacji, a potem wróciłam do mieszkania na Sobótki dokończyć ostatni rok nauki i przygotować się do matury.

Rok po balu, w pięćdziesiątym pierwszym, pani Danusia wyszła za mąż za Włodka.

– Nachodził, ładnie mówił i był bardzo ostrożny w stosunku do mnie. Wzięliśmy ślub, a ja zaczęłam pracować. Ale nie udało się to małżeństwo, nie udało.

Związku nie uratowało urodzenie się córki Grażyny w 1953 roku. Młodzi mieszkali u teściowej, ponieważ Włodek objął posadę dyrektora szkoły mechanicznej w Gdyni. Dodatko-

wy dochód płynął z różnych prac, które uczniowie wykonywali w ramach zajęć i po nich.

– Moja córka do Poznańskiego do cioci często jeździła. Ja dostałam nakaz do Zgierza do laboratorium, ale tam nie chciałam. Mój wtedy jeszcze mąż też nie chciał jechać. Ale później zaczął zdradzać. Kłamał. Tyle tam przysięgał, ale ja się spakowałam. Od ojca dostałam papiery i poszłam do urzędu, żeby załatwić mieszkanie. Zdążyłam na ostatnią chwilę. Jeszcze przyjechała moja koleżanka z Wilna, to poświadczyła wszystko. Zamieszkałam w Sopocie na Władysława IV w byłym internacie zrobionym na mieszkania dla nauczycieli. Dwa duże pokoje, trzeci mniejszy, ale oszklony. Duża kuchnia, osobna toaleta, łazienka.

Pytam o czasy, o których nie mówiła, o studia i pierwszą pracę.

– Oj, Boże, jakie życie jest ciekawe. Już mnie nic tak ciekawego nie spotka. Bo co teraz mogę? Trochę paplałam, przeleciałam niektóre lata...

WIKTORIA KRASZEWSKA

wojna vintage

Kilka kroków od drzwi wejściowych do przychodni błyszczą szyba rejestracji. Ażyl dla wszystkich spragnionych informacji, zagubionych pacjentów. Średnia wieku na protetyce jest raczej niezaskakująco wysoka, więc atmosfera w poczekalni jest wspaniała, zupełnie vintage. Osiedlowy autobus kursujący w godzinach porannych, ale to w końcu służba zdrowia. Wchodzę z moim zębem, a właściwie to z jego brakiem, siadam i zalewa mnie fala tematów. Wspominki, przepisy, dochodzenie pod hasłem: „Wie Pan co? Jest to w gruncie rzeczy całkiem prawdopodobne, że jesteśmy spokrewnieni”, komentarze, polecenia medyczne i pseudomedyczne, pokazywanie zdjęć na smartfonie o zbyt rozjaśnionym ekranie, żarty, te same zdania powtarzane kilka razy bez cienia irytacji, w pełnym porozumieniu, no i oczywiście – dolegliwości. Ptasie radio, tylko takie dojrzałe, doświadczone, nieco już nieobecne i niewyraźne (jednak to protetyka). Wśród wesołego szumu słychać jednak dwa głosy, których właściciele, gdyby poczekalnia miała ustawić się w linii od najmłodszego do najstarszego pacjenta, stanęliby pomiędzy mną a resztą rozmówców.

- Wychodził tu taki. Ja pani mówię, ulizany, wypieszczony. Za czyje pieniądze?!
- Ale że co? Czarny?
- Rusek. Tego, z Ukrainy pewno.
- A co on tu?
- No właśnie, nico! Siedzi darmożjad i pieniądze ciągnie. Się w dentystę bawi. Tam ma kraj, do którego won!
- Nie może być... A skąd pan wie, że Ukrainiec?
- No mówili przecież. A że to pan Maksym zawoła. Maksym się nazywa, czy inny Artem, no, to ruskie imię, nie?
- Co to się wyprawia...

– Ta, siedzi i korzysta. Zamiast u siebie, to u nas. Że niby student, ale ja pani powiem, co nam po takich studentach?! A ta cała wojna... ile to czasu już minęło, e tam, wszystko jedno, szkoda sobie języka strzępić.

– No szkoda, szkoda.

Wspaniale się wygłasza śmiałe komentarze na głos, kiedy omawiany ich nie słyszy. Ale w tym przypadku... słyszał. Pan Maksym stał kawałek dalej w głębi korytarza, zaraz obok, jak wryty. Chwilę temu wyszedł z gabinetu poprosić kolejną osobę, zawołać mnie i mój brak zęba. Usłyszał pewnie wszystko. W końcu woła mnie zduszonym głosem. Wstaję osłupiała i zbita z tropu, bo sekundę temu wyobrażałam sobie, że owszem, wstanę, ale po to, żeby heroicznie skomentować rozmowę pary z krzesłek obok. Trzeba się prędzej decydować na takie rzeczy, bo szanse za szybko przepadają. Idziemy we dwoje na salę z rzędem foteli, okropnym wierceniem i wspaniałą akustyką. Milczymy.

Tak na marginesie: pan Maksym jest Polakiem, nie pochodzi z Ukrainy. Gdy mi to mówi, jego oczy znad maseczki wyrażają niezrozumienie, irytację, zdziwienie. Co to za różnica? Żadna, po prostu ma takie imię. W odpowiednich warunkach może ono stać się świetną okazją do „integracji” przypadkowych osób w poczekalni, które chcą sobie trochę pogadać, powyrzucać z siebie trudne emocje, porozlewać kwas. Ale co to za różnica? W końcu: „ile to czasu już minęło, e tam, wszystko jedno”. A wojna trwa. I powoli staje się przedawniona. I powoli staje się vintage. A przecież trwa.

MIKOŁAJ WRÓBLEWSKI

Podróż przeszłością

„Cztery godziny snu muszą wystarczyć” – myślę po przebudzeniu. Wrzask pojedynczego, skutecznego alarmu to pierwszy towarzyszący mi dźwięk. Teraz nadrzędnym celem jest założenie spodni na tyłek i ewakuacja. Mógłbym zebrać dodatkowe punkty za śniadanie i inne czynności podtrzymujące mnie przy życiu, ale nie czas na to w obliczu bezlitosnego Gryfa. Symbol Pomorza warunkuje moje życie towarzyskie i zawodowe, więc muszę składać mu ofiary z czasu i punktualności. To bardzo wybredny bożek. Poranna dobrowolna przebieżka kończy się po sześciuset metrach – dotarłem do ołtarza, miejsca modlitw. Razem ze mną inni „niewierni”. Wszyscy rytualnie klniemy. Wyglądamy, czy bóstwo transportu wyjedzie z za poszarzałych od smogu i spalin drzew.

Tutaj objawia się mój ateizm i przestaję wierzyć w przybycie pogermańskiego rydwanu o pojemności osiemdziesięciu osób albo czterdziestu bab z torbami. Nie obchodzi mnie już rosnące spóźnienie, mimo bardzo krwistej ofiary z rzucanego na ołtarzu mięcha. „Przecież to nie ode mnie zależy wola nieba” – niby-stoicko łatam sobie dziurę po porzuconej wierze. Niech i nie przyjeżdża, może ma lepsze rzeczy do roboty.

Wtem przypominam sobie czekającą na mnie dziewczynę i wołające potem obowiązki w mieście. Porzucam stan srirwany i generuję imponujące wiązanki obelg do przedsiębiorstwa Gryf. Nienawiść narasta.

I nagle... wywołałem to lichy z Kościerzyny moją złą energią, zjawił się w chwili wypowiedzenia ostatniego słowa. Jak na zawołanie. Już widzę tego leśnego dziada za kierownicą. Potomek Leszego już nadjeżdża, wszyscy wierni widząc upragnionego opóźnionego bożka, rozpoczynają upadlającą, bezlitosną grę, która sprawia, że przypominają Amerykanów przed szybami sklepowymi na Black Friday.

Kotłowanie, przepychanki i kalkulacje, gdzie się zatrzyma, zadecydują o miejscu siedzącym. Bo kto pierwszy, ten lepszy, kto pierwszy, ten ma prawo usiąść. Nie chcę zemdleć

i wolę odespać, więc siłą rzeczy muszę wziąć udział w igrzyskach siedziska. Niestety, dwieście czterdzieści minut snu nie pozwala na moc obliczeniową, która wskaże mi miejsce otwarcia drzwi. Pokonany, wchodzę ostatni.

Już akceptowałem los porannej ludzkiej sardynki, gdy doznałem olśnienia. Nawiedził mnie genialny pomysł, choć nie wiedziałem, czy wystarczy mi odwagi na tak śmiały czyn. Postanowiłem zaryzykować i przemówić do tak zwanych podwójnych pasażerów – czyli jednej z trzydziestu bab z gigantycznymi torbami na niby-niezajętym, sąsiednim siedzeniu. Wybrałem taką, którą łatwo zastraszyć i wreszcie powiedziałem:

– Przepraszam, czy mógłbym tutaj usiąść?

Po chwili przeciskania się przez jej nogi i torbę, którą wzięła na kolana, aby utrudnić mi przejście, znalazłem się przy lodowatym oknie. Moja rywalka o *lebensraum* nie chce uznać istnienia półek na tobołki ponad głowami i mruczy pod nosem coś na kształt porannej modlitwy gryfowej na przystanku. *Great success* – powiedziałyby mój sąsiad Borat, gdyby nie wyjechał do USA.

Mogę złożyć ciało i odetchnąć. Nie na długo, bo zdałem sobie sprawę, że jestem twarzą w stronę wszystkich pasażerów. Tylko cztery miejsca w autobusie są tyłem do kierunku jazdy, każde, prócz mojego, obwarowane jest pakunkami. Co oni tam codziennie wożą w tych worach? Jak Andy Dufresne wynoszą codziennie kupka po kupce trochę gruzu? Chcą usypać sobie w końcu mieszkanie w Gdańsku, po tych latach zwożenia taniego, wiejskiego budulca? Pomysł dobry, choć przyznam, że wolałbym częściej siedzieć zamiast ustępować miejsca materiałom budowlanym babodeweloperki o modelu biznesowym ze *Skazanych na Shawshank*.

Usiłuję się zdrzemnąć, bo w tym mroku nie da się czytać. Czuję jednak na sobie wzrok losowych pasażerów. Oni też nie mogą zasnąć i próbują markować zerknięciami mrugnięciami, odwróceniem głowy. Dobrze znam te sposoby, bo od lat jestem zawodowym obserwatorem homo spaniens w komunikacji miejskiej. Raz na koniunkcję sfer zdarza się rozmowa – dla badacza to unikalna okazja. Ale przez znakomitą większość czasu podróży mija w martwej nieciszy, bo silnik tego poniemieckiego cudu techniki niebywale warkocze.

Zaskakujące, jak w wielu miejscach można znaleźć ślady naszych sąsiadów zza Odry. Gdybym uderzył z całej siły w te prawie zabytkowe materiałowe obicia siedzisk, oprócz tułmanów kurzu uniosłyby się całe kolonie poniemieckich roztoczy. DNA Emmericha jadącego sobie nowym Mercedese latem '96 roku osiadałoby na włosach antyniemieckich głów seniorów.

Moja zaś głowa mimowolnie opada na szybę, ale wibracje i wstrząsy powodowane asfaltową mozaiką dziur nie pozwalają jej spocząć. Oparcie fotela musi mi wystarczyć, choć sięga mi do karku, gdy łeb mam wygięty w górę. Po drugiej stronie mijane już tysiąckrotnie te same widoki nawet się nie rozmazują od prędkości, bo nasza szybkość pozwala przyznać rację co do wyboru środka transportu mijającym samochody rowerzystom. Jestem skaza-

ny na takie myśli, i to przynajmniej dwie godziny dziennie. Choć muszę przyznać, że słodka błogość nieróbstwa jest pewną ulgą od życia, które zaczyna być znośne od godziny dziesiątej.

Zamykam oczy na kwadrans... Teleportuję się trzysta metrów dalej. Zamykam oczy... i nagle widzę przystanek końcowy, chęć zmniejszenia spóźnienia każe mi wyrwać się z objęć rozto-
czy, przedrzeć się przez kolanowe tobołki i wydostać na zewnątrz.

Budzi mnie orzeźwiające, chłodne i rześkie powietrze. Jak błogim jest spacer na eskaemkę?

AGATA DENICKA

Do Klienta

Mija czwarty rok, od kiedy każdą sobotę spędzam w sklepie odzieżowym. Choć nie jest to wyznaczenie zakupoholiczki, to niewiele brakuje, by się nim stało. Po tylu latach odczuwam przywiązanie do ubrań i akcesoriów, przestrzeni, a nawet do manekinów, choć akurat one wywołują we mnie niepokój. Plastikowi ludzie bez cienia emocji na twarzach, spędzają każdy dzień w tej samej pozycji, nieruchomo, tylko co jakiś czas trzeba poprawiać ramiączka ich sukienek i bluzek tak, żeby ubrania z najnowszej kolekcji wyglądały odpowiednio zachęcająco. A one, te manekiny, nic, nawet nie podziękują, tylko stale mi się przyglądają. Niedługo mają wymienić je na takie wykonane z materiału, to kolejny etap redukcji zużycia plastiku przez markę. Dobrze im tak, niech za ten brak kultury gniją na wysypisku (bo przecież ich nie zutylizują, ekologia sieciówki nie wybiega poza horyzont wzroku klienta).

Trzy piętra. Całe trzy piętra moje. Dziesiątki, setki, tysiące, dziesiątki tysięcy ubrań. Jestem na wpół posiadaczem. Pośrednikiem między Tobą, Kliencie, a ubraniem. Zaraz Ty będziesz pełnoprawnym posiadaczem, lecz najpierw jestem nim ja. Na wpół ja. Transakcja jest rozstaniem.

Nasza relacja jest asymetryczna¹. Zajmuję nadrzędną pozycję wobec Ciebie. To ja nadaję bieg i ton naszej rozmowie. Jestem w swoim żywiole, bo zostałam zaprogramowana, nauczono mnie, jak z Tobą rozmawiać. Nazywam się Doradca Klienta i to jest to dla mnie zgubna nazwa – sugeruje, że bez Ciebie jestem nikim. Żeby być Doradcą Klienta, muszę mieć najpierw klienta, więc Ty też masz w tej relacji pewną władzę, choć wcale nie tak du-

¹ J. Tyka, *Człowiek bazaru/człowiek supermarketu. Perspektywy badań nad językiem na bazarze miejskim*, „Język – Szkoła – Religia” 2013 7(2), s. 108–115, <https://czasopisma.bg.ug.edu.pl/index.php/JSR/article/view/625> (dostęp: 25.02.2025).

żą. Nasza konwersacja nie jest jedynie zwykłą wymianą zdań. Wiedziałaś, że nazywają to rozmową marketingową?² Przebiega w sposób wyreżyserowany, zgodnie ze scenariuszem, jak w teatrze – o odpowiedniej kolejności wypowiedzianych kwestii przypominają mi pikto-gramy na plakietce umieszczonej na mojej smyczy. Przywitanie, nabicie produktu na kasę, zapytanie o naszą aplikację, zeskanowanie bądź założenie aplikacji, potem pada jeszcze pytanie o torbę, na końcu płacisz i następuje rozstanie. Moje z Tobą i moje z ubraniem, nie zobaczymy się nigdy więcej, a nawet jeśli, to nie będę pamiętała Twojej twarzy, chyba że przyjdiesz w ubraniu, które Ci sprzedałam. Ubranie zapamiętam.

Ja – Doradca Sprzedaży nie czuję odpowiedzialności, jestem jedynie pośrednikiem między Tobą a sklepem. Nie należy do mnie ani przedmiot, ani kwota za niego otrzymana, więc nie zależy mi na sprzedaży tego produktu. Czasami wręcz przeciwnie, modłę się, żebyś go nie kupił, ponieważ to ja powinnam go mieć, a to ostatnia sztuka, której nie zdążyłam odłożyć do szafy rezerwacji.

Na targu byłoby inaczej, tam relacja sprzedawcy z klientem nie jest bezosobowa, każdy kupujący jest na wagę złota, a w handlarza nikt nie wpaja specjalnych technik sprzedaży i żadna instytucja nie nadzoruje jego pracy. Rozmowa z klientem na targu nie posiada konkretnego schematu, choć jej również przewodzi jeden główny cel – sprzedać. Sprzedawca będzie używał swoich technik, do których dojdzie na podstawie własnego doświadczenia i obserwacji. Nawiąże relację z kupującym tak, żeby ten chciał do niego wrócić. Zdobędzie stałych klientów, z którymi będzie rozmawiać o oferowanych rzeczach, o wydarzeniach z życia publicznego i prywatnego, o pogodzie i dobrych radach na bolące mięśnie czy kolana. Ich przywitanie będzie głośne i serdeczne, podczas gdy w sklepie niekiedy witany nie jesteś wcale. Również język sprzedawcy³ na targu będzie nosił znamiona bardziej zindywidualizowanego i prywatnego – zamiast masła zaoferuje Ci masełko lub ręcznie wyszywane szaliczki, których nie myl ze sklepowymi szalami.

Ale przecież Ty posiadasz swoją ulubioną galerię handlową, więc ona również ma stałych klientów. Jednocześnie zdajesz sobie sprawę z tego (zdajesz?), że jesteś w niej nieostrzegalny, znajdujesz się w nie-miejscu⁴, ogromnej, bezosobowej przestrzeni. Giniesz w tłumie odwiedzających, nie nawiązujesz specjalnej relacji z Doradcą Sprzedaży i przede wszystkim nie wracasz do sklepu ze względu na obsługę, a wyłącznie towar, którym dysponuje. Nie będziesz częstym gościem wybranej galerii handlowej ze względu na uśmiech sprzedawcy, a czyste przymierzalnie, duży asortyment i małe kolejki do kas. Na targu jesteś klientem człowieka, na zakupach w galerii wracasz do swojej ulubionej marki, której bra-

² Tamże.

³ Tamże.

⁴ M. Augé, *Nie-miejsca. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.

kuje konkretnej twarzy. Wraz z rozwojem kas samoobsługowych pozycja i zakres obowiązków Doradcy Sprzedaży kurczą się. W tym sensie relacja klient–Doradca zdaje się stopniowo zanikać.

Sklep liczy ponad pięćdziesięciu pracowników i muszę przyznać, że poza osiemnastorgiem z nich reszta – pracująca tu krótko lub jedynie sezonowo – pozostaje mi obojętna. Nie znamy swoich imion i musimy improwizować, kiedy menedżer poprosi, by zanieść coś Ani lub Mateuszowi, bo wstyd przyznać, ale nie miałam pojęcia, że pracuje tu jakiś Mateusz. Podobnie jest z tysiącami klientów, którzy przetaczają się przez alejki sklepowe każdego dnia. Traktuję ich z rezerwą, są tacy, którzy budzą we mnie niechęć, choć to zdecydowana mniejszość – to ci nieuprzejmi, niechlujni, czasami podpici lub pod wpływem środków odurzających. Większość, wbrew stereotypom o roszczeniowych Polakach nękających pracowników handlu lub punktów gastronomicznych, jest neutralna i poprawna. Odwiedza mnie też jedna pani, reprezentantka najmniejszego odsetka klientów, czyli tych, których chcę zapamiętać, żeby zawsze witać ich ciepłym uśmiechem, tak jak oni witają mnie. Pani regularnie przychodzi oglądać ubrania z najnowszej kolekcji, ale czuję, że pośrednio wraca również do mnie, jestem z nią naprawdę związana. Nie wiem, jak jej na imię, dlatego zawsze zwracam się do niej *proszę pani*, a ona, nie znając mojego imienia, mówi do mnie *kochanie*. Może gdybym była sprzedawcą na targu, to wiedziałaby, że jestem Agata. Nie sposób nie dostrzec pani w sklepie i jestem za to naprawdę wdzięczna, ten wygląd ułatwia proces zapamiętywania. Z daleka widać jej krótkie włosy o różnym stopniu zabarwienia – czasem kolor jest bliski amarantowi, a innym razem to delikatny różany. Nie wiem, czy to kwestia zbliżającej się wizyty u fryzjera, czy wielkiej miłości do różowego. Usta też ma zawsze różowe. Znam tę kobietę tak dobrze, że kiedy rozpakowuję dostawę z ubraniami, wiem, które wpadną jej w oko. Pani kocha wyraziste kolory, z wyjątkiem indygo. Mówi, że nie czuje się w nim dobrze, a szkoda, bo jej pasuje. Lubi ciekawe wzory, jednak nigdy nie mogą być kiczowate. Wciąż uczę się, gdzie leży granica między panterką odpustową a salonową. Wierzę, że kiedyś osiągnę odpowiednią wrażliwość oka.

Nie tworzę z panią relacji targowej. Nie wiem o niej nic, oprócz jej preferencji zakupowych. Ona wie o mnie jeszcze mniej, chociaż zna moje miejsce pracy. Ostatnio doceniła mój uśmiech, więc jej doradziłam (bo jestem Doradcą), żeby nie brała bluzki za sto pięćdziesiąt złotych, bo niedługo będzie w promocji (w ten sposób poinformowałam ją o nadchodzących ofertach, zyskując klienta długoterminowego, co przyniesie zysk firmie).

Typ relacji z drugim człowiekiem stanowi kluczową różnicę między sklepem odzieżowym a targowiskiem. Drugą jest relacja człowiek–produkt. Tu znów sprzedawca na targu dysponuje większymi zasobami. Posiada wiedzę, anegdotę⁵ i więź. Każdy sprzedawany

⁵ D. Kalinowska, *Supermarket, czyli klinika społecznych neuroz. Dlaczego Polacy pokochali galerie handlowe?*, „Gazeta Prawna” 2018, 16 marca, <https://biznes.gazetaprawna.pl/artykuly/1111425,dlaczego-polacy-pokochali-galerie-handlowe.html> (dostęp: 25.02.2025).

przedmiot ma swoją historię. Meble, dekoracje, akcesoria i ubrania służyły komuś przez wiele lat. Na kredensie dziadek spisywał swoje wiersze. Domowe przetwory ugotowano na podstawie przepisu prababci. Książki i płyty stanowiły atrybut sprzedawcy w latach osiemdziesiątych, kiedy przeżywał swoją młodość.

Ja takich historii nie mam. Spędzam w towarzystwie ubrań osiem godzin, wiem o nich wszystko, ale dopiero od momentu, kiedy przybyły do sklepu. Resztę informacji muszę wyczytać z metki, swoistego aktu urodzenia produktu. Wiem, z którego kraju pochodzi, choć to niedokładna informacja, bo Chiny liczą 9 706 961 kilometrów kwadratowych. Mogę określić wiek ubrania – sprawdzić, jaki posiada numer. Dzisiaj (to ulega ciągłym zmianom) siedem oznacza nowość. Szóstka to kolekcja maksymalnie sprzed pół roku. Piątka i czwórka często wchodzi na przecenę. Trójkę widuję tylko przecenioną. Wisi tu już długo. To normalne, że się do tych ubrań przywiązuje. Do starych czuję politowanie – nikt ich nie chce, wiszą tu od dawna, są jak psy ze schroniska. Patrzymy na siebie codziennie, naprawdę życzę im, żeby znalazły swój dom, kochanego właściciela, który się nimi zajmie, a przede wszystkim wypierze, bo co chwilę zbieram je z podłogi. Ubranie z galerii nie ma swojej anegdoty. Nie jest tak wyjątkowe i niepowtarzalne jak przedmioty na targu. Pochodzi z masowej produkcji i znajdziesz je powieszony w nieprzypadkowym miejscu, w równych odstępach, z metką schowaną do środka, by cena Cię nie zniechęciła. Sklep odzieżowy to harmonia i przestrzeń. Ma konkretny styl, idący w zgodzie z oferowanymi produktami. Projekty zagospodarowania wnętrza przychodzą wraz z nową kolekcją. Całość ma stanowić ucztę dla oka i portfela konsumenta. Zauważ, że obok bluzki zawsze znajdziesz pasujący do niej dół, a przy sukience będzie kurtka lub marynarka dopełniająca stylizację. W sklepie wszystko ma znaczenie. Przestrzeń ma Cię pochłoniąć, dlatego rzadko znajdziesz tam okna⁶. Zapomnij o upływającym czasie i skup się na oferowanych ubraniach. Nieważne, że na zewnątrz jest już ciemno, ważne, że w tle leci przyjemna muzyka, a Ciebie otaczają wzory i kolory. Zwróć uwagę na te kolory. Oczywiście, że skupienie niebiesko-czarno-białych produktów w jednym miejscu ma walor estetyczny. Jeżeli zainteresowała Cię granatowa koszula, to może skusisz się też na marynarkę w tym samym odcieniu, która wisi trzy wieszaki dalej?

Dookoła Ciebie jest pełno luster. Powiększają przestrzeń, a w ich odbiciach dostrzeżesz kolejne ubrania. Tworzą dodatkowy kąt widzenia, dodatkową możliwość na zmanipulowanie Twojego oka. Lustra to także okazja do obejrzenia własnej postaci. Tak, Kliencie, obejrzyj się w nim, w sklepie wszystko kręci się wokół Ciebie i ubrania, Ciebie w ubraniu, ubrania na Tobie. Nieświadom niczego spełniasz tę wolę, w lustrze nie tylko się przeglądasz, ale także fotografujesz. Później te zdjęcia wrzucasz do internetu, często oznaczasz profil lub lokalizację galerii. Galerie mają swoje profile, a nawet hasztagi: #forumgdańsk, #galeria-baltycka, #gbstyle, #gbtrendy. Centra handlowe stały się miejscem, w którym społeczeń-

⁶ Tamże.

stwo chce zaznaczać swoją obecność. W galeriach się bywa, tak jak bywa się w teatrach, na wystawach i koncertach. Sklepy stały się ośrodkami kultury, gdzie prezentujesz siebie i swoje wybory. Dokonujesz oceny wyborów innych. Stojąc w kolejce do kasy, spoglądasz na osobę przed sobą, oceniasz kurtkę, którą zamierza kupić. To stwarza pogląd⁷. Ja też oceniam Twoje zakupy.

Targ rządzi się podobnymi zasadami, lecz realizowanymi w inny sposób. Poczynając od przestrzeni, o której nie można mówić w kategoriach harmonii i ładu. Na targu panuje chaos, ale jest to chaos pożądanym przez konsumenta. Klient wybiera targ właśnie ze względu na ten sprzyjający nieład, różnorodność i niespodziankę. Możesz iść na targ z zamiarem kupna czegoś, nie możesz mieć jednak pewności, że znajdziesz tam swój przedmiot. Na zakupy w sieciówce możesz zdecydować się po zobaczeniu produktu w internecie. Tiktoki i reelsy tworzą firmom darmową reklamę. Wciągają konsumentów w błędne koło. Dostępność produktu w wybranym sklepie możesz sprawdzić także online. Dzięki temu całkowicie pozbywasz się elementu zaskoczenia.

Targ jest równie fotogeniczny. To konsument podejmuje decyzję dotyczącą stylu, który chce zaprezentować w swoich mediach społecznościowych – klimat nowoczesnej, masowej i konsumpcjonistycznej⁸ galerii handlowej czy tradycyjnego, vintage targowiska? Wiodący trend na vintage, oparty na ekologicznie oraz społecznie świadomych wyborach produktów o wysokiej jakości, własnoręcznych lub z drugiej ręki, zmusza marki *fast fashion* do podejmowania działań na rzecz środowiska, a także na rzecz społeczności, którą zatrudniają. To prawdopodobnie jeden z niewielu przypadków, gdzie pierwotne i tradycyjne metody wyznaczają kierunek niezbędnych zmian. Sieciówki chorują na kompleks targowiska, a wywożenie plastikowych manekinów na wysypiska śmieci, by w ich miejsce postawić poliestrowe siostry i braci, to jeden z przykrych objawów tych zaburzeń. Galerie handlowe dążą do stania się ośrodkami kultury. Obok sklepów odzieżowych pojawiają się restauracje i strefy gastronomiczne, punkty usługowe, kina, kręgielnie, salony gier oraz oddziały muzeów. Trwa walka o klienta, który coraz częściej chadza (tak jak bywał w galerii) na targi mody vintage, targi płyt czy targi książek.

⁷ Tamże.

⁸ J. Tyka, dz. cyt., s. 108–115.

Bibliografia

Augé M., *Nie-miejsca. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.

Kalinowska D., *Supermarket, czyli klinika społecznych neuroz. Dlaczego Polacy pokochali galerie handlowe?*, „Gazeta Prawna” 2018, 16 marca, <https://biznes.gazetaprawna.pl/artykuly/1111425,dlaczego-polacy-pokochali-galerie-handlowe.html> (dostęp: 25.02.2025).

Tyka J., *Człowiek bazaru/człowiek supermarketu. Perspektywy badań nad językiem na bazarze miejskim*, „Język – Szkoła – Religia” 2013 7(2), <https://czasopisma.bg.ug.edu.pl/index.php/JSR/article/view/625> (dostęp: 25.02.2025).

KACPER KUDZIA

Nowe szaty królów – trend odnawiania kultowych gier wideo

Gry vintage bądź też retro, co jest popularniejszym określeniem, są nie lada wyzwaniem dla współczesnych graczy. Przede wszystkim spotykają problem natury technologicznej – wiele dzisiejszych systemów operacyjnych nie wspiera gier sprzed ponad 20 lat, co prowadzi do konfliktu i niemożności włączenia takiego programu. Zmienili się odbiorcy oraz standardy w branży – aktualnie popularne są tytuły prowadzące gracza „za rączkę”, nakładające na mapę multum znaczników i niepozwalające na zgubienie się podczas rozgrywki. Kiedyś wyglądało to zupełnie inaczej – brak wskaźników, podpowiedzi, nierzadko również map. Gry były trudne, nie tylko na poziomie mechanicznym, ale przede wszystkim na orientacyjnym. Oczywiście większość tych cech wynikało z ograniczeń technologicznych – deweloperzy musieli dostosowywać się do właściwości ówczesnych sprzętów, takich jak konsole czy komputery. Jednak stare gry wideo (i żeby była jasność – mam na myśli produkcje z okresu od lat 80. do początków XXI wieku) są smakowitym kąskiem również dla młodszych odbiorców – w końcu nie bez powodu cieszą się one kultem wśród starszych znajomych. Stąd pojawia się naturalna chęć sprawdzenia produkcji, poczucia ich na własnej skórze, doświadczenia. Niestety duża część z nich stała się tzw. *abandonware*, co oznacza ‘produkt porzucony, niewspierany, niewydawany więcej po pierwotnej premierze’. Szczęśliwcy posiadają oryginalne pudełka z płytami, jednak co mają począć młodszy gracz, którzy nie mieli możliwości ich nabycia? Pojawia się kilka opcji – po pierwsze, można ową płytę od kogoś odkupić nieraz za kwotę astronomiczną, co definitywnie nie jest optymalnym rozwiązaniem. Poza tym napędy CD odchodzą do lamusa i ze świecą szukać laptopa, który go ma. Po drugie, w Internecie istnieje niepisana zasada, że jeśli coś jest porzucone i niewydane współcześnie, to otrzymuje się ciche przyzwolenie na uzyskanie dostępu drogą niekoniecznie legalną – np. dzięki linkom „dobrego znajomego”, który w jakiś

sposób uzyskał dostęp do plików gry. Włączając w to modyfikacje stworzone przez fanów, można otrzymać w pełni uwspółcześnione retro rozwiązanie, które pozwoli przynajmniej częściowo poczuć to, co czuł gracz 20–30 lat temu. Jednak są to drogi wymagające obeznania zarówno w Internecie, jak i w konfiguracji plików źródłowych. Stąd też pojawiły się dwie szkoły odświeżania klasyków – remaster oraz remake. Różnica między nimi jest fundamentalna – remastery to gry stworzone najczęściej na tym samym, delikatnie uwspółcześnionym silniku. Twórcy ulepszają w nich jakość cieniowania, światła i rozdzielczości natywnej. Natomiast remaki to zupełnie inna historia. Śmiało można powiedzieć, że to całkowicie nowa gra, gdyż taki produkt jest tworzony od zera – na współczesnym silniku graficznym, z nowym i spełniającym dzisiejsze standardy gameplayem, nierzadko zmienioną perspektywą, dopracowanymi mechanikami – jednak z tą samą fabułą i postaciami (choć zdarzają się elementy dodane lub usunięte), co pozwala dzisiejszym graczom we współczesnej formie doświadczyć historii sprzed ponad 20 lat.

Odnalezienie protoplastów całego nurtu odświeżania starszych produkcji w tym środowisku wydaje się skomplikowane. Wiele gier przeznaczonych na Nintendo Entertainment System było remake'ami gier z Atari, a nawet automatów. W 1985 r. ukazało się *Temple of Asphai Trilogy* zawierające w sobie *Temple of Asphai* z 1979 r., które było stworzone raz jeszcze na potrzeby zbiorczego pakietu – można więc mówić o pełnoprawnie nowej grze. Jednak termin remake nie funkcjonował w tamtych czasach. Ze względu na ogromne różnice w sprzęcie – między komputerami a konsolami – mówiono bardziej o konwersjach czy też portach. Naturalnym więc było to, że gry przenoszone np. z Commodore 64 na konsolę (która była kilka razy potężniejsza obliczeniowo) musiały zostać stworzone od zera, aby dorównać standardom w branży. Takim przykładem jest chociażby *Gun Fight* z 1975 r., który był przeprogramowaną wersją *Western Gun* z automatów, w nowszej edycji wykorzystano mikroprocesor, co polepszyło znacznie jakość grafiki. Nie ma jednoznacznej zgody co do pierwszego remake'u w historii, ale za jeden z pierwszych uznaje się *Ultimę I: The First Age of Darkness* z 1986 r., która była modernizacją oryginału, a nie prostym portem. W 1987 r. nastąpił przełom 16-bitowy zapoczątkowujący trend odświeżania klasyków, jednak kluczowym momentem było wydanie *Super Mario All-Stars* w 1993 – kompilacji gier *Super Mario Bros* w nowej, ulepszonej oprawie stworzonej całkowicie od zera na potrzeby ówczesnych systemów. Sukces ten zachęcił innych twórców do podobnych działań, co doprowadziło do powstania m.in. *Mega Man: The Wily Wars* w 1994, a rok później *Ninja Gaiden Trilogy*.

Wspomniałem o podziale, który pojawił się przy odświeżaniu klasyków. Rzeczywiście, mamy dwie główne kategorie i raczej trzymamy się tych rodzajów. Jednak istnieją jeszcze inne sposoby na wydanie tego samego po raz kolejny. Remaki, jak pisałem wcześniej, to kompletnie nowa gra stworzona od zera, korzystająca z oryginału jako swego rodzaju wzoru. Nowy silnik graficzny, fizyczny, najnowsze wodotryski wizualne czy odmienny styl rozgrywki (ale, co ważne, zbliżony do oryginału) to typowe rozwiązania w tym przypad-

ku. Odbiór takich reedycji jest różny – ortodoksyjni fani raczej rzadko przekonują się do nowych rozwiązań i wolą pozostać przy pierwszym wydaniu, nie spoglądając nawet na to nowe, co często argumentują tym, że „stara grafika jakoś bardziej pasowała do klimatu” lub „12 klatek na sekundę wyglądało lepiej”. Natomiast gdy gra zrobiona jest rozsądnie, to prawie zawsze spotyka się z dobrym odbiorem wśród młodszych graczy, szczególnie tych, którzy nie mieli możliwości zagrania w oryginał. W przypadku nieortodoksyjnych fanów jest to zależne od jakości odświeżenia. Faktycznie są oni bardziej krytyczni względem produkcji, co nie powinno dziwić, szczególnie jeśli mówimy o prawdziwych klasykach pokroju *Silent Hill 2*. Obie perspektywy są niezwykle ważne – w końcu taki remake, jako całkiem nowa gra, chce osiągnąć zarówno starych wyjadaczy gier komputerowych (którzy dobrze znają tytuł), jak i przede wszystkim tych zupełnie nowych. Pokazać im coś, o czym w sferze internetowej słyszeli tylko legendy, ale nie mieli okazji poczuć tego na własnej skórze. Uwspółcześnione mechaniki w rozgrywce pozwalają lepiej doświadczyć gry sprzed ponad 20 lat, a nowoczesna grafika stworzona od zera na nowym silniku graficznym zwiększa wizualne doznania i pogłębia immersję, co ułatwia zrozumienie historii.

Wspomniane *Silent Hill 2* z 2001 r. dostało pełnoprawne odświeżenie w 2024, co pozwoliło na przywrócenie do życia jednej z najlepiej napisanych fabuł w historii gier wideo. Jednocześnie przyniosło też ogromną listę zmian względem oryginału, czyniąc z dzieła wręcz całkowicie nowy twór kulturowy. Jedyne, co pozostało niezmienione, to historia, dialogi oraz postaci, które są całkowicie takie same jak w oryginale. Znow odbiorca spotyka się z Jamesem Sunderlandem, wdowcem, który wraca do miasteczka Silent Hill po otrzymaniu listu od swojej zmarłej żony Mary z informacją, że tam na niego czeka. Trzon fabuły pozostaje taki sam, jej przebieg również – polskie Bloober Team podeszło do tytułu z ogromnym szacunkiem i nie zmieniło w konstrukcji fabularnej właściwie niczego. Mówiąc o rozgrywce, sposobie ekspozycji, tempa czy zachowaniu monstrów spotykanych po drodze – trzeba przyznać, że został wykonany kawał dobrej roboty. Przede wszystkim uwspółcześniono perspektywę do dzisiejszych trendów gatunku survival horroru – czyli do kamery zza pleców głównego bohatera, podczas gdy w oryginale mieliśmy do czynienia z czymś pokroju „kamery monitoringowej”, co było ówczesnym standardem obecnym również w kultowym *Resident Evil*. Wszystkie zagadki środowiskowe zostały utrudnione i wymagają większego zaangażowania eksploracyjnego. Mało tego, zakres świata gry został rozszerzony, a wcześniej niedostępne przez ograniczenia techniczne budynki zostały otwarte. Dodano nowe przerywniki filmowe i zakończenia (co ważne – zgodne z duchem oryginału) nieobecne w pierwowzorze czy zmieniono zachowanie potworów występujących w miasteczku (dzięki czemu potrafiły one zaskoczyć nawet starych wyjadaczy) oraz przeprojektowano walki z bossami. Mechanika walki wręcz czy strzelania została unowocześniona i zdynamizowana, co pogłębiło wrażenia płynące ze spotkań z obrzydlistwami podczas eksploracji mgielnego Silent Hill. Najważniejsze jednak dla graczy stało się to, że dzięki tym wszystkim



1. Bloober Team SA (2024), *Silent Hill 2*, KONAMI,
https://store.steampowered.com/app/2124490/SILENT_HILL_2/ (dostęp: 13.05.2025).

ulepszeniom gra została wydłużona z ok. 8 godzin rozgrywki do mniej więcej 20. Remake spotkał się z niesamowicie ciepłym odbiorem zarówno wśród fanów serii, jak i nowych graczy, którzy docenili wszystkie usprawnione funkcje wprowadzone do odświeżonej wersji gry, przez co można uznać go za udany powrót do przeszłości w nowych szatach.

Jednak na rynku mamy do czynienia również z tzw. remasterami, czyli dokładnie tymi samymi grami na tych samych silnikach graficznych bez żadnych większych zmian w strukturze gameplayowo-fabularnej. Jedynymi różnicami względem oryginału najczęściej są zwiększona jakość tekstur, poprawiona fizyka oświetlenia oraz zmiany *quality of life*, czyli np. poprawienie sterowania czy skrócenie ekranów ładowania. W stosunku do takich wydań pojawiają się uzasadnione wątpliwości ze strony graczy – w końcu dostajemy dokładnie ten sam produkt, nierzadko za zdecydowanie wyższą cenę, z częstą praktyką usuwania ze sprzedaży detalicznej tytułu oryginalnego. Prowadzi to do sytuacji, w której konsument jest zmuszony do wydania 60 dolarów na grę sprzed 20–30 lat w niezmienionej formie. Wydawcy w takich przypadkach utrudniają bądź całkowicie uniemożliwiają dostęp do oryginału, co sztucznie zwiększa wartość nowego produktu. Oczywiście dla wielkich studiów jest to bardzo prosty zarobek przy niskim koszcie – nie tworzą oni nowej gry, a jedynie delikatnie odświeżają stary tytuł, nakładając na niego dzisiejszą cenę rynkową. Nie podoba się to graczom, a także słusznie jest krytykowane, szczególnie, że wielu deweloperów decyduje się na remastery drogą darmowej aktualizacji do gry – za przykład może posłużyć chociażby *Wiedźmin 3: Dziki Gon* od CD Projekt Red. Nie jest to, co prawda, stara gra (choć w maju skończy już, bagatela, 10 lat), ale jej twórcy podchodzą z szacunkiem do odbiorcy. Ekipa z Warszawy zrozumiała, że jest to dokładnie ten sam produkt, a zmiany są tak minimalne, że nie zasługują one na ponowne wycenienie. Mało tego, CD Projekt Red nie usunęło poprzedniej wersji gry i jeśli ktoś nie ma dostatecznie dobrego sprzętu, który byłby w stanie obsługiwać chociażby inteligentne śledzenie promieni świetlnych, to może w każdym momencie wrócić do poprzedniej aktualizacji. Prawdziwie prokonsumenckie posunięcie, co oczywiście nie umknęło graczom, którzy chwalili ruch firmy. Przeciwwagą dla tego rozwiązania niech będzie przykład Sony i ich gry z – uwaga – 2017 r., *Horizon Zero Dawn*. Wydawca zdecydował się na wydanie odświeżonej wersji z podtytułem *Remastered* w 2024 r. 7 lat – tyle wystarczyło Sony na stwierdzenie, że gra, którą dzieli zaledwie jedna generacja (wydana wyłącznie na PS4, później na PC, wtedy też poprawiona graficznie) – powinna dostać płatną aktualizację, która polepszy jakość światła, modeli postaci, tekstury wody itd. Gra już wcześniej była niezwykle dobrze przygotowaną perełką wizualną dorównującą współczesnym tytułom. Oczywiście nowa wersja jest zupełnie oddzielna od poprzedniej i została wyceniona, a jakże, jak pełnoprawny nowy tytuł. Nie muszę wspominać o tym, że Sony zdecydowało się usunąć poprzednią wersję i jedynym sposobem, aby zagrać w tę produkcję, jest zakupienie nowej edycji, która kosztuje „jedynie” 219 zł. Sony łaskawie pozwoliło zakupić posiadaczom oryginału wersję *Remastered* za ok. 50 zł, co spowodowało ten



2. CAPCOM Co, Ltd. (2023), *Resident Evil 4*, CAPCOM Co, Ltd.,
https://store.steampowered.com/app/2050650/Resident_Evil_4/ (dostęp 13.05.2025).

przypadek do miana płatnej aktualizacji, którą CD Projekt Red w analogicznej sytuacji udostępnił za darmo dla wszystkich. Przypadek Sony jest o tyle ciekawy, że aktualną generację konsol określa się najnudniejszą właśnie przez ilość remasterów, które pojawiają się wręcz nagminnie, a nowych oryginalnych tytułów brakuje.

Wróćmy jednak do tematu starych gier. Remastery nie muszą być takie złe – przytoczony wyżej przykład pokazuje raczej niezwykle skrajne podejście do tego terminu. Firma uznała 7-letnią grę za starą, aby mieć pretekst do ponownej sprzedaży niskim nakładem pracy. Pojawiają się również perełki, które nie polegają na zbudowaniu gry od zera, a odświeżeniu klasyka z należytych mu szacunkiem, uznając wyższość rozwiązań, które już w tamte czasy były rewolucyjne i nadal są aktualne. Idealnym przykładem wydaje się być *Diablo 2: Resurrected* stworzone przez Blizzard Entertainment razem z Vicarious Visions w 2021 r. Jest to reedycja gry z 2000 r., a więc już przestarzałej graficznie, ale czy mechanicznie również? To samo pytanie zadali sobie twórcy i odpowiedzieli na nie w sposób zdecydowany – ulepszmy produkt wizualnie, dodamy zmiany, które polepszą jakość rozgrywki, jednak u źródła jej nie zmienimy. Dokładnie tym jest wersja *Resurrected* – to gra stworzona na takim samym silniku, co 21 lat wcześniej. Za to w trakcie rozgrywki można swobodnie przełączać się między trybem graficznym sprzed dwóch dekad a tym unowocześnionym. Deweloperzy przyznali, że jest to ta sama gra, która działa na identycznych zasadach matematycznych i logicznych, co 20 lat temu. Jednak wyciągnięto z niej esencję i delikatnie przerobiono kod źródłowy, co spowodowało, że grając w dzieło wyglądające fenomenalnie, mamy poczucie obcowania z czymś vintage. Projekt został niezwykle dobrze rozporządzony i otrzymał wysokie noty, lecz pojawiło się pytanie, na ile jest to zasługa twórców, a na ile tego, że oryginał stał się grą ponadczasową. Choć trzeba przyznać, że pojawiły się głosy krytyki, iż powinien być to pełnoprawny remake, gdyż niektóre mechaniki są przestarzałe i wymagają współczesnego podejścia. Nie chciałbym jednak chwalić za bardzo Blizzard Entertainment, więc wspomnę tylko, że ta firma ma na koncie również inny remaster – *Warcraft III: Reforged*, który cechował się przede wszystkim okrojona zawartością względem pierwotnej wersji czy zmianą wyglądu wielu postaci na gorsze według graczy. Ocena na MetaCritic wynosi 59 punktów od krytyków i 0.6 od graczy, wiele to mówi o odbiorze i jakości odświeżenia, szczególnie w kontekście usunięcia oryginału ze sprzedaży.

Poza dwoma głównymi nurtami odrestaurowywania klasyków istnieje jeszcze jeden, szczególnie ciekawy. W popkulturze krąży termin reboot, który również korzysta ze starszych produkcji. Nie wymieniłem go na początku tekstu ze względu na pewną specyfikę, którą się cechuje. Jest to podejście polegające na wzięciu znanej marki, wycięciu z niej wszystkiego, co było wcześniej, i stworzeniu jej od nowa ze współczesnym spojrzeniem oraz standardem. Na dobrą sprawę jest to w pewnym sensie remake – dostajemy zupełnie nowy produkt wytworzony raz jeszcze od początku do końca, z nowymi mechanikami i szatą graficzną, jednak w tym przypadku często ogromne znaczenie mają warstwy świa-



3. Blizzard Entertainment, *Vicarious Visions* (2021), *Diablo 2: Resurrected*, Blizzard Entertainment (źródło własne).

totwórcze, narracyjne i fabularne. Remaki przekazują tę samą historię, co oryginał, ewentualnie nieznacznie ją zmieniają, co jest niezauważalne dla przeciętnego gracza. Rebooty najczęściej tworzą fabułę od nowa – dodają współczesne motywy, usuwając te, które mogą wydawać się już przestarzałe. Można to nazwać duchowym spadkobierstwem, choć często dzielą te same tytuły, gdyż pewne ramy nawiązujące do oryginału muszą wystąpić. W celu łatwiejszego i przystępniejszego zrozumienia terminu – gdyż różnice są naprawdę niewielkie, a nazewnictwo spotyka się z krytyką, iż jest mylące – przytoczę definicję Thomasa R. Willitsa:

‘Reboot’ oznacza restart uniwersum, które zostało już wcześniej ustanowione, i rozpoczęcie od nowej linii fabularnej lub osi czasu, które pomijają wcześniej ustaloną historię oryginalnego autora, tym samym czyniąc ją przestarzałą i nieważną¹.

Zatem można uznać, że mamy do czynienia z nowym tworem popkulturowym, który jakoś nawiązuje do oryginału, osadzając nowy tytuł w tym samym lub bliźniaczo podobnym uniwersum. Pojawia się w tej kwestii zasadnicze pytanie – dlaczego w takim razie nie stworzyć nowego uniwersum, zamiast zmieniać to, co już zostało stworzone? Patrząc z perspektywy zarobkowej, oczywistym jest to, że znany graczom tytuł sprzeda się po prostu łatwiej niż zupełnie nowy produkt, o którym za dużo nie wiedzą. Z drugiej strony taki reboot daje możliwość naprawienia błędów i dziur fabularnych, które pojawiły się w poprzedniej odsłonie. Powodów może być naprawdę wiele, nie sposób je wszystkie przytoczyć, a tak jak w przypadku remasterów i remake’ów – pojawiają się te lepsze i gorsze.

Jednym z ciekawszych przykładów dobrego rebootu jest *Doom* z 2016 r. stworzony przez id Software, a więc przez to samo studio, które wyprodukowało *Dooma* w 1993. Twórcy odrestaurowanej wersji zdecydowali się na pogłębienie charakteru i nakreślenie przeszłości głównego bohatera. *Doom* Slayer w oryginale nie był właściwie żadną znaczącą postacią – pełnił funkcję bardziej awatara gracza niż rzeczywistego, autonomicznego bytu. Jedyne, czego gracz się o nim dowiadywał, to fakt, że był żołnierzem – na tym się właściwie kończyło. W *Doomie* z 2016 r. postaci mają charakter, głębię oraz co najważniejsze – motywację. Nie jest już to całkowicie bezmyślna „naparzanica” polegająca na niszczeniu coraz to większych hord demonów (choć nadal jest to bardzo, ale to bardzo ważna część rozgrywki – w końcu z tego słynie seria), a faktyczny tekst kultury, który pod płaszczykiem typowej pierwszoosobowej strzelanki kryje w sobie zaskakująco dobrze przemyślane motywy oraz fabułę. Główna antagonistka nie chce zniszczyć całego świata „bo tak”. Jest w tym rzeczywiście przekonująca, a w pewnym momencie można jej współczuć. Została napisana ludzko i z pieczołowitością, co dodało niezwykle istotną warstwę fabularną do uniwersum, wcze-

¹ T. R. Willits, *To Reboot Or Not To Reboot: What is the Solution?*, <http://www.bewilderingstories.com/issue344/reboot1.html> (dostęp: 05.03.2025), tłum. własne.



4. id Software (2020), *DOOM Eternal*, Bethesda Softworks,
https://store.steampowered.com/app/782330/DOOM_Eternal/ (dostęp: 13.05.2025).

śniej niezbyt obecną. Nie oznacza to oczywiście, że oryginał jest pustym tworem – bardziej w grę wchodzi realia, w których oba tytuły zostały stworzone. Produkcje z lat 80. i 90. skupiały się na rozwoju technologicznym i rewolucjonizowaniu rynku coraz to nowszymi rozwiązaniami gameplayowymi. Dzisiaj ten postęp nie jest już aż tak zauważalny, gry sprzed 10 lat można bezproblemowo porównywać z tymi dzisiejszymi, a różnice są naprawdę niewielkie. Jednak nowoczesne tytuły znacznie koncentrują się na przekazaniu pewnej wartości, na głębokich oraz poruszających fabułach oddających motywy występujące w dziełach współczesnych. Stąd potrzeba unowocześnienia całego świata *Dooma*. Warto dodać, że była to bardzo udana próba, która spotkała się z ciepłym przyjęciem wśród graczy i krytyków.

Interesującym przykładem rebootu jest również *God of War* z 2018 r., który bazuje na produkcji o tym samym tytule z 2005. Zmiany w nowym wydaniu były ogromne – przede wszystkim skupiono się na narracji i fabule – które w oryginale były bardziej pretekstem do wydarzeń w grze – zmieniono całkowicie system walki, perspektywę, świat i postacie. Jednak, co istotne, gra nie wypiera poprzednich części, mało tego – nawiązuje do nich oraz potwierdza ich kanoniczność. Prowadzi to do zasadniczego pytania, czy rzeczywiście jest to reboot, czy kontynuacja? Zdaje się być czymś pomiędzy, choć uważam, że bardziej kieruje się w stronę reboota. Być może nie ignoruje poprzednich części, ale nie sposób porównać Kratosa z oryginału do tego z 2018 r. – to dwóch zupełnie różnych bohaterów. W pierwowzorze bóg wojny był porywczy, opętany szałem, nie obchodziło go ludzkie istnienie, a jedynie chaos i zniszczenie. Nowy Kratos został samotnym ojcem, a w trakcie fabuły stara się zrozumieć syna oraz stworzyć z nim ojcowską więź. Na dobrą sprawę mamy do czynienia z postacią napisaną od zera. Oczywiście poprzedni charakter mu ciąży – spotyka się ze swoją przeszłością. Jednak jego zmiana dokonała się poza wzrokiem graczy między trzecią częścią a nieformalną czwartą z 2018 r. Rozgrywka stała się mniej dynamiczna. Nie polega już na chaosie i zniszczeniu, a odzwierciedla zmianę charakteru głównego bohatera – stała się bardziej strategiczna, wolniejsza, nastawiona na przemyślane ataki, a także ruchy i uniki. Fabuła przeniosła się z mitycznej Grecji do Midgardu, więc nawet na poziomie światotwórczym dokonał się kontrast. Z czystym sumieniem można nazwać produkcję godnym rebootem, który dał serii drugie życie, choć warto zaznaczyć, że wielu fanów oryginału ceniło serię za chaos i rozgrywkę pozwalającą na rozluźnienie, od czego kontynuacja odeszła i spotkała się z krytyką w niektórych źródłach.

Powroty do klasyków są trudne – odbiorcy muszą nierzadko zgodzić się z tym, że ich ulubiona gra z lat 90. czy początków XXI wieku wcale nie była idealna i wymagała poprawek dodanych w remake’u czy innych wersjach. Nostalgia to potężny faktor, który kieruje szczególnie graczami siedzącymi od wczesnych lat dziecięcych w branży. Pojawia się jednak zasadnicze pytanie – czy takie powroty do klasyków nie są przypadkiem pracą odtwórczą i tzw. „pójściem na łatwiznę”? I tak, i nie. Praca włożona w remaki i rebooty jest ogromna oraz wymaga dużych funduszy, ale jednocześnie korzysta ze znanej marki, dzięki czemu



5. Santa Monica Studio (2018), *God of War*, Sony Interactive Entertainment,
<https://www.dualshockers.com/god-of-war-ps4-4k-screenshots-kratos-atreus/> (dostęp: 13.05.2025).

dobra sprzedaż jest niemal gwarantowana. Największe wątpliwości budzą remastery, które aż nazbyt często dają odczucie perfidnej chciwości wydawcy, który w łatwy sposób chciał zarobić pieniądze niskim kosztem, co nie zmienia faktu, iż dobre tego typu reedycje się pojawiają. Jednak jest to zdecydowana mniejszość. Branża nie powinna stać tytułami wydanymi kilkadziesiąt lat temu, lecz promować coraz to oryginalniejsze twory, przecierając szlaki dla nowych produkcji, których na rynku tak bardzo brakuje. Starsze tytuły miały już swój czas, wytoczyły nowe standardy – wystarczy nie utrudniać do nich dostępu i umożliwić granie w nie na najnowszych systemach. Należy odświeżać tylko te dzieła, które rzeczywiście tego wymagają, a ząb czasu już dawno je nadgryzł. Nowi odbiorcy powinni mieć możliwość doświadczenia gier otoczonych kultem z współczesną rozgrywką. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że jest to całkowicie niezrozumiałe dla wydawców.

Bibliografia

Willits T. R., *To Reboot Or Not To Reboot: What is the Solution?*, <http://www.bewilderingstories.com/issue344/reboot1.html> (dostęp: 05.03.2025).

MAJKA

PAULINA JARMUSZKIEWICZ

Gdzie jest miejsce na improwizację? O romantycznych improwizacjach w kontekście wybranych definicji widowiska kulturowego

W celu odniesienia improwizacji romantycznych do szeroko rozumianego terminu „widowisko kulturowe” trzeba najpierw pochylić się nad definicją samych improwizacji. Nie jest to zadanie łatwe; zdaje się, że następuje problemów nawet doświadczonym badaczom. Dzieje się tak, gdyż:

mimo że w naturalny i niezaprzeczalny sposób łączy się ono [zjawisko improwizacji – P.J.] z domeną literacką, to przekracza ramy literatury *sensu stricto*, zarówno ze względu na swój performatywny charakter, ale także przez silne interakcje z innymi sferami twórczości artystycznej, chociażby teatrem czy muzyką¹.

Dlatego też improwizacja:

[...] najczęściej jest uznawana za zjawisko paraliterackie, przybierające rozmaite postaci i na bardzo różne sposoby funkcjonujące w przestrzeni szeroko pojętej kultury. Siłą rzeczy każda próba uchwycenia tego proteuszowego fenomenu wymusza na obserwatorze ujęcie wieloaspektowe, powstałe przez skrzyżowanie rozmaitych perspektyw i nieuchronnie interdyscyplinarne².

Próby definicji improwizacji podejmowano wielokrotnie. Michał Głowiński ujął ją w perspektywie literaturoznawczej: „Improwizacja – tworzenie bez przygotowania utworu literackiego (zwłaszcza poetyckiego) lub muzycznego w bezpośrednim kontakcie z odbior-

¹ I. Puchalska, *Improwizacja poetycka w kulturze polskiej XIX wieku na tle europejskim*, Kraków 2013, s. 9.

² Tamże.

cami [...]”³. Definicja obejmuje tutaj dwa znaczenia: improwizacja jako akt twórczy oraz jej efekt. Nie zawiera ona jednak innej możliwości powstania utworu jak tylko w bezpośredniej obecności odbiorców. Utwór, który powstał bez świadków, a sposób jego stworzenia określony jest tytułem bądź podtytułem „improwizacja” (odnosząc się tutaj do rozumienia improwizacji nie jako wystąpienia, ale jako psychologizującego aktu twórczego, który może odbyć się w samotności i nie musi zostać wygłoszony) nie został więc uwzględniony.

Takie znaczenie natomiast – już w perspektywie pierwszej połowy XIX wieku, gdzie popularność improwizacji była niezaprzeczalna – musiał wyeksponować Wiktor Weintraub. Píše on o dwóch rodzajach improwizacji: pierwszą jest nieujęty przez Głowińskiego w definicji „utwór poetycki, który narodził się w stanie natchnienia i który dlatego waloryzowano wysoko”⁴, o drugiej pisze tak:

Równocześnie jednak [...] mamy do czynienia w Europie z instytucją „improwizacji” jako publicznego popisu, zazwyczaj płatnego, układania na poczekaniu, bez przygotowania wierszy najczęściej na tematy zadawane przez kogoś z publiczności. [...] Tak powstałe płody poetyckie tylko wyjątkowo doczekały się druku⁵.

Iwona Puchalska natomiast określa improwizację jako „akt artystyczny, w którym tworzenie dzieła jest jednoczesne z jego prezentacją lub/i utrwaleniem”⁶. W tej definicji zmarginalizowana (choć nie wykluczona) zostaje obecność publiczności. Stworzenie takiej definicji miało na celu „rozumienie improwizacji nie tylko jako przebiegu procesu twórczego, lecz także jako podstawy i punktu odniesienia zabiegów stylizacyjnych”⁷.

Warto jeszcze przy zestawianiu definicji pochylić się nad kilkoma cechami improwizacji wyszczególnionymi przez Stefanię Skwarczyńską⁸. Wskazuje ona na ich efemeryczny charakter („Zrodziła ją chwila, istnieje tylko dla audytorium, które do pewnego stopnia ją współtworzy”⁹), na współpracę autora i publiczności, gdzie, oczywiście, znaczna część leży po stronie autora, niemniej rola odbiorcy także jest podkreślona, oraz na nastrój, któremu charakter nadaje chwila – „im nastrój jest bardziej zdecydowany i intensywniejszy, tym oczywiście improwizacja może wybuchnąć bez podania tematu”¹⁰.

W definicjach pominięto jeszcze jeden, zdaje się jednak ważny, aspekt – improwizacje, a zwłaszcza te romantyczne, były silnie nastawione na emocjonalność. Podobnie jak

³ M. Głowiński, *Improwizacja*, [w:] *Słownik terminów literackich*, red. J. Sławiński, Wrocław 1989, s. 195.

⁴ W. Weintraub, *Improwizacja*, [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykova, Wrocław 1991, s. 363.

⁵ Tamże.

⁶ I. Puchalska, dz. cyt., s. 19.

⁷ Tamże.

⁸ Wszystkie wymienione przez badaczkę cechy i ich dokładne opisy znajdują się w tekście: S. Skwarczyńska, *Istota improwizacji i jej stanowisko w literaturze*, „Pamiętnik Literacki” 1931, t. 28, nr 1/4, s. 185–212.

⁹ Tamże, s. 189.

¹⁰ Tamże, s. 190.

w liminalnej fazie rytuału przejścia jednostka wygłaszająca była jakby zawieszona między światem rzeczywistym a tym, co widziała „okiem natchnienia”.

Z kilku tylko wybranych definicji zarysowuje się właściwie dwojaki obraz improwizacji romantycznych – nie tylko jako tekstu powstałego w natchnieniu (jak to na przykład było w przypadku Wielkiej Improwizacji Mickiewicza), ale także – a może nawet przede wszystkim – jako czynności, działania czy swoistego performansu przed publicznością, zazwyczaj o charakterze emotywnym czy wręcz duchowym.

Przyjmując za wyjściową tę część definicji improwizacji romantycznych, która ukierunkowana jest na działanie, można przejść do różnie definiowanego widowiska kulturowego i próby umieszczenia improwizacji w jego obrębie.

Wydaje się, że warto zacząć od słownikowej definicji widowiska Patrice’a Pavisa:

Widowiskiem albo spektaklem nazywane jest to wszystko, co przeznaczone jest do oglądania. „Widowisko jest pojęciem ogólnym, które określa wszelkie zjawiska, jakie oglądamy” (Bathers 1975: 179). Tak więc oznaczać może ono pewne formy sztuk przedstawieniowych (taniec, operę, film, pantomimę, cyrk itp.), także teatr (szczególnie w odniesieniu do jego sfery wizualnej), ale również pewne inne rodzaje aktywności, związane z oglądaniem i uczestnictwem zaangażowanych w nie osób (sport, obrzędy kultowe czy rytualne, ceremonie publiczne itp.), a więc wszelkie *cultural performances*, którymi zajmuje się etnoscenologia¹¹.

Zdaniem Pavisa zatem „widowisko” to termin rozumiany bardzo szeroko. W pewnym sensie ważne tutaj jest nie tylko fizyczne działanie, ale także całość świata przedstawionego, w którym agensy i widzowie są zaangażowani. Widowisko obejmuje zatem zarówno treść, jak i formę przedstawienia, a także kontekst społeczno-kulturowy, w którym jest ono prezentowane. Jeśli więc improwizacje romantyczne uwzględniają te aspekty i są analizowane w kontekście ich artystycznych, społecznych i kulturowych implikacji, mogą być one postrzegane jako część widowiska w rozumieniu Patrice’a Pavisa. Jednak warto zauważyć, że sama etykieta „romantyczna” może wpływać na specyfikę i charakter takiej improwizacji.

Mając w pamięci definicję Pavisa, przejdźmy do widowiska kulturowego. Od widowisk rozumianych ogólnie różnią się one tym, że zazwyczaj skupiają się na głębszych, kulturowych i społecznych wymiarach wydarzeń, ich znaczeniu dla społeczności i ich wpływie na kulturę i tożsamość narodową. Zdaje się więc, że w romantyzmie zajmowały – oczywiście nie pod tym terminem – znaczącą pozycję. Wystarczy pomyśleć o sytuacji, w jakiej znajdowało się państwo polskie, o klęsce powstania listopadowego czy o zagubionej, próbującej odnaleźć się w nowej sytuacji politycznej i społecznej emigracji. Literatura stanowiła jeden z głównych czynników spajających rozbite społeczeństwo. Podobną rolę zaczęła z czasem

¹¹ *Widowisko*, [w:] P. Pavis, *Słownik terminów teatralnych*, wstęp A. Ubersfeld, przeł., oprac. i uzupełn. S. Świontek, Wrocław 2002, s. 585.

odgrywać improwizacja. Tutaj warto choćby przywołać pamiętną kolację u Januszkiewicza z grudnia 1840 roku, gdzie improwizacje wykonane przez Słowackiego i Mickiewicza doprowadziły do łoż zebrane tam towarzystwo, które w pewien sposób zidentyfikowało się z wygłaszającymi, poczuło to, co oni.

Widowiska kulturowe także bywają różnie rozumiane:

Zwykle definicje widowisk kulturowych są dość ogólne. John MacAloon uważa, że „to kultura w działaniu”. Erving Goffman nazywa je „machiną transformującą jednostkę w postać działającą na scenie”. Dla Wojciecha Dudzika podstawowe wyróżniki widowisk obejmują granice czasoprzestrzenne (początek, koniec, miejsce), ustrukturuwany przebieg, obecność wykonawców i publiczności oraz znaną przyczynę aktywności. Z kolei MacAloon zwraca uwagę na mieszany rodzaj akcji, która oznacza dominację działającego nad działaniem, a nie odwrotnie (jak w teatrze dramatycznym), *katharsis* odbiorców, ich refleksywność i uczestnictwo łączące pragnienie ze skupieniem na każdym etapie widowiska. Zauważając, że nie ma widowisk wcześniej wstępnie nieuformowanych, sugeruje konieczność posiadania przez nie jakiejś postaci scenariusza¹².

Improwizacje romantyczne wpisują się więc w takie definicje widowisk kulturowych. W improwizacjach istotna jest interakcja z publicznością. Ten aspekt może podkreślać bliskość i bezpośrednią komunikację między wykonawcami a widzami, co jest zgodne z duchem romantycznym, który kładzie nacisk na emocje i osobiste doświadczenia. W improwizacjach romantycznych *katharsis* – czyli oczyszczenie emocjonalne widza – może być głębsze, ponieważ improwizowane działania są bardziej nieprzewidywalne i mogą prowadzić do intensywniejszych reakcji uczuciowych (patrz: chociażby wyżej przywołana kolacja u Januszkiewicza).

Jedynie, co nie pozostaje w zgodzie z powyższymi definicjami improwizacji romantycznych, to stanowisko MacAloona o braku widowisk „wcześniej wstępnie nieuformowanych”. Kłóci się ono z samą konwencją improwizacji, które stanowią organiczną, żywą formę sztuki. Są one z natury bowiem spontanicznymi działaniami, które z reguły nie mają wcześniej ustalonego scenariusza. W romantycznej interpretacji, spontaniczność ta może odzwierciedlać podkreślenie indywidualizmu, wolności i namiętności, które są ważne w kontekście romantycznej epoki.

Interesujące są także uwagi Victora Turnera na temat źródeł widowisk kulturowych, które badacz dostrzega w dramatach społecznych. Pełnią one funkcję najważniejszego komentarza w kluczowym momencie tych dramatów:

[...] rozmaite widowiska w złożonych społeczeństwach przemysłowych, zarówno instytucje prawne, jak scena i publiczny proces sądowy, korzeniami swymi tkwią głęboko w odwiecznym ludzkim dramacie społecznym, zwłaszcza w jego trzeciej fazie, którą określimy jako przywracanie równowagi. Bezpośrednią przyczyną tego dramatu jest konflikt tkwiący w strukturze społecznej, za któ-

¹² D. Ratajczakowa, *Galeria gatunków widowiskowych, teatralnych i dramatycznych*, Poznań 2015, s. 13.

rym jednak może się tać nieustający niepokój ewolucji; zdaje się bowiem, że naszemu gatunkowi nader szybko przypiszą się nawet najkorzystniejsze rozwiązania kulturowe¹³.

A także:

W życiu codziennym dramaty społeczne pojawiają się, w mniejszej lub większej liczbie, nieustannie – jako owoc zarówno kultury, jak i natury – jednak kulturowe sposoby uświadamiania ich sobie (a więc rytuały, sztuki sceniczne, karnawały, monografie antropologiczne, wystawy malarskie, filmy) zmieniają się wraz z kulturą, klimatem, techniką, historią zbiorową i demograficznymi uwarunkowaniami poszczególnych grup¹⁴.

Improwizacja romantyczna w kontekście opisanym w cytowanym fragmencie stanowiłaby wyraz spontaniczności, emocji, nadziei i reakcji na dramaty społeczne. Te z kolei były charakterystyczne dla epoki romantyzmu, która – jak wspominałam wyżej – była okresem gwałtownych zmian społecznych i politycznych. Co więcej, improwizacje romantyczne, podobnie jak inne artystyczne formy, są kształtowane przez zmieniające się konteksty kulturowe, historyczne i społeczne. W romantyzmie, kiedy historii, naturze oraz duchowości przypisywano duże znacznie, improwizacje mogły odzwierciedlać wielowymiarowe aspekty ludzkiego doświadczenia. A zatem improwizacje stanowiły ważny element kulturowy, który pomagał ludziom wyrażać, przetwarzać i rozumieć świat wokół nich.

Warto tu jeszcze wspomnieć o ciekawym rozróżnieniu widowisk opisanym przez Jacka Wachowskiego¹⁵. Podzielił je on bowiem na sztuczne i naturalne. Naturalne widowiska odnoszą się do spontanicznych, niezorganizowanych i niekontrolowanych form przedstawień, które mają miejsce w naturalnym środowisku, często bez bezpośredniego ludzkiego działania lub interwencji. O widowiskach sztucznych natomiast pisze tak:

Za ich podstawę uznaje się wyuczone i powtarzalne formy zachowań, które – posługując się terminologią Richarda Schechnera – należałoby określić mianem zachowanych zachowań (*restored behaviors*). [...] Widowiska sztuczne, o których najczęściej mówi się performanse (albo performanse kulturowe – *cultural performances* [...]), stanowią podstawową formę aktywności podejmowanej przez podmiot zarówno w wymiarze społecznym, jak też indywidualnym. Wszystkie te odmiany performansów mają swoich autorów (sprawców), są działaniami somatycznymi, ukierunkowanymi na realizację określonych celów (a więc odznaczają się walorem pragmatycznym), są delimitowane (to znaczy potrafimy wyznaczyć ich czasoprzestrzenne granice), a także iterowalne (opierają się na niedokładnych powtórzeniach)¹⁶.

¹³ V. Turner, *Teatr w codzienności, codzienność w teatrze*, przeł. P. Skurowski, [w:] *Antropologia widowisk. Zagadnienia i wybór tekstów*, oprac. A. Chałupnik, W. Dudzik, M. Kanabrodzki i in., red. L. Kolankiewicz, Warszawa 2005, s. 457.

¹⁴ V. Turner, dz. cyt., cyt. za: D. Ratajczakowa, dz. cyt., s. 13.

¹⁵ Zob. J. Wachowski, *O widowiskach kulturowych i nie tylko*, <http://grzeg.home.amu.edu.pl/wp-content/uploads/2014/03/Jacek-Wachowski-Widowiska-kulturowe.pdf> (dostęp: 27.02.2025).

¹⁶ Tamże, s. 22.

Zdaje się, że chociaż improwizacja romantyczna odnosi się do spontanicznych i raczej niewyszukanych form przedstawień, może być także postrzegana jako sztuczne widowisko w kontekście określonych definicji i ram, które są ustanowione dla widowisk. W improwizacji romantycznej ważna była chociażby autoprezentacja, która w niektórych przypadkach była stylizowana, choreografowana lub zorganizowana w określony sposób. Podobnie można rozumieć samą konwencję improwizacji – istnieją przecież określone ramy, konteksty bądź czasem swoiste zasady (ale mimo wszystko chyba nie są to ustalone scenariusze), które ją kształtują i definiują. Improwizacja romantyczna jako sztuczne widowisko staje się więc punktem styku między spontanicznością a strukturą, między autentycznością a reprezentacją.

To oczywiście tylko wybrane definicje widowisk kulturowych, ale wystarczą one do wysunięcia kilku wniosków. Analiza improwizacji romantycznych w kontekście różnych definicji widowiska kulturowego rzuca nowe światło na dynamikę i głębię tej formy sztuki w epoce romantyzmu. Teoretyczne ramy widowisk kulturowych, zaproponowane przez takich badaczy, jak na przykład John MacAloon czy Victor Turner, pozwalają na głębsze zrozumienie, jak improwizacje romantyczne wpisują się w szerszy krajobraz tego typu widowisk. W epoce romantycznej, gdzie uczucie, natura i indywidualizm były w centrum zainteresowania, improwizacje stawały się nie tylko wyrazem artystycznym, ale również refleksją nad ludzkim doświadczeniem.

Poprzez analizę improwizacji w kontekście różnych definicji widowiska możliwe staje się także odkrycie ich wielowymiarowości i zdolności do przekraczania tradycyjnych granic sztuki, angażowania odbiorcy w interaktywną podróż przez świat emocji, marzeń i namiętności.

W ten sposób improwizacje romantyczne, choć były produktem swojego czasu, pozostają źródłem inspiracji i refleksji dla współczesnych badaczy i twórców, podkreślając uniwersalność i trwałość idei, które leżą u ich podstaw.

Bibliografia

- Głowiński M., *Improwizacja*, [w:] *Słownik terminów literackich*, red. J. Sławiński, Wrocław 1989.
- Pavis P., *Słownik terminów teatralnych*, wstęp A. Ubersfeld, przeł., oprac. i uzup. S. Świontek, Wrocław 2002.
- Puchalska I., *Improwizacja poetycka w kulturze polskiej XIX wieku na tle europejskim*, Kraków 2013.
- Ratajczakowa D., *Galeria gatunków widowiskowych, teatralnych i dramaturgicznych*, Poznań 2015.
- Skwarczyńska S., *Istota improwizacji i jej stanowisko w literaturze*, „Pamiętnik Literacki” 1931, t. 28, nr 1/4.
- Turner V., *Teatr w codzienności, codzienność w teatrze*, przeł. P. Skurowski, [w:] *Antropologia widowisk. Zagadnienia i wybór tekstów*, oprac. A. Chałupnik, W. Dudzik, M. Kanabrodzki i in., red. L. Kolankiewicz, Warszawa 2005.
- Wachowski J., *O widowiskach kulturowych i nie tylko*, <http://grzeg.home.amu.edu.pl/wp-content/uploads/2014/03/Jacek-Wachowski-Widowiska-kulturowe.pdf> (dostęp: 27.02.2025).
- Weintraub W., *Improwizacja*, [w:] *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowska, Wrocław 1991.

PAWEŁ KWIATKOWSKI

Historia przekładów Księgi Koheleta do XX wieku

Księga Koheleta to jedna z siedmiu ksiąg mądrościowych Starego Testamentu. Jej powstanie datuje się na III rok przed naszą erą. Składa się z zaledwie dwunastu rozdziałów, więc w porównaniu do większości ksiąg Pisma Świętego nie jest szczególnie długa. Przeprowadzono nawet obliczenia (skupione na Biblii hebrajskiej i aramejskiej), według których księga ta, składająca się z 2987 słów i 222 wersetów, zajmowałaby jedynie jedną setną całości Pisma Świętego. Pomimo tego treść zamieszczona w tych dwunastu rozdziałach wystarczyła, by do dzisiaj Eklezjastes pozostawał autorem najbardziej niejednoznacznej i problematycznej w interpretacjach księgi biblijnej – nazywanej najtrudniejszą, niepasującą strukturalnie do reszty Biblii czy też „najbardziej oryginalną i skandaliczną księgą Starego Testamentu”¹ według Gianfranco Ravasiego bądź „księgą anty-mądrościową”² zdaniem Rolanda Murphy’ego. Kohelet przecież będzie nazywany przez późniejszych badaczy jednocześnie: neurotykiem, agnostykiem, epikurejczykiem, dekonstrukcjonistą, fatalistą, racjonalistą. Ravasi powie, że był głęboko wierzącym człowiekiem, a Gerhard von Rad określi go ateistą. Warto też wspomnieć, że Księga Koheleta pozostaje w zasadzie zupełnie nieczytana w Kościele katolickim. Pośród wszystkich cykli czytań w lekcjonarzu mszalnym pojawia się ona tam zaledwie trzy razy³, co jest indywidualnym wyjątkiem i dosyć mocno intryguje, ponieważ resztę ksiąg Starego Testamentu wspomina się po wielokroć.

1 Tytuł książki Gianfranco Ravasiego.

2 G. Ravasi, *Kohelet. Najbardziej oryginalna i „skandaliczna” księga Starego Testamentu*, Kraków 2009.

3 Czytania w lekcjonarzu są podzielone na cykle: czytania niedzielne – cykl trzyletni (ABC), czytania na dni powszednie – cykl dwuletni (I–II). Księga Koheleta występuje w lekcjonarzu razem trzy razy – raz w cyklu trzyletnim ABC, raz w cyklu powszednim dwuletnim I–II oraz raz w cyklu mszalnym jednorocznym (Koh 3, 1–11, Koh 4, 7–12 oraz Koh 11, 9–12, 8). Dla porównania przykładowo Księga Mądrości występuje w lekcjonarzu 31 razy w ciągu roku liturgicznego, Księga Przysłów 28 razy, a Księga Syracha 62 razy.

Do dzisiaj nawet nie wiadomo, kto tak naprawdę stoi za napisaniem tej wyjątkowo frapującej przez wieki księgi. Długo jej autorstwo przypisywano królowi Salomonowi, biblijnemu władcy Izraela, synowi króla Dawida. W końcu Kohelet rozpoczyna swe dzieło słowami: „Słowa Koheleta, syna Dawida, króla w Jerozolimie” (Koh 1,1). Co również ciekawe – jedynym obrazem, przywoływanym przy próbie odtworzenia możliwego wizerunku Koheleta pod postacią Salomona, pozostaje dzieło Gustave’a Dore’a. Ostatecznie jednak badania skłaniają nas do wniosku, że autor posłużył się postacią tego legendarnego króla, aby dodać księdze jeszcze większej powagi bądź też wiarygodności. Problem sprawia nie tylko wyłonienie autora, ale także przydomek, który dla siebie wybrał. Słowo „Kohelet” pochodzi od hebrajskiego *kahal*, a greckiego *eklesia*, co można by tłumaczyć jako określenie funkcji gromadzenia, zbierania społeczności. Trudno powiedzieć, czy takie wyjaśnienie nadaje większy sens postaci Eklezjastesa. Jednakże zachodzi tu dodatkowa, ciekawa, wydawałoby się, nieprawidłowość – ponieważ rozbrzmiewający siedem razy w księdze Kohelet ma żeńską końcówkę. Gdyby miał pozostać rzeczownikiem w formie męskiej, brzmiałby *kohel*. Tak że prawidłowo wyraz ten tłumaczyłoby się ‘gromadząca, zwołująca’. Trudno jednak budować głębszą analizę tego, jakoby Kohelet był kobietą, kiedy pisze on chociażby o tym, że jest królem bądź synem⁴.

Kohelet przez większą część księgi stosuje narrację pierwszoosobową, opowiadając literalnie o swoich doświadczeniach życiowych, na przykład snując refleksję nad swoim „eksperymentem”, podczas którego to podjął się badania „mądrości i wiedzy, głupoty i szaleństwa” (Koh 1,17). Ta przybrana konwencja automatycznie podpowiada myślenie o autobiografizmie i łączeniu twórcy tekstu z biblijną postacią Koheleta. Może to pozostać jedynie w sferze domniemywania, gdyż najpewniej nigdy nie odkryje się, kto tak naprawdę stoi za mądrością Eklezjastesa. Przy badaniu autorstwa tej niezwykłej księgi należałoby również wziąć pod uwagę, przez ile rąk mogła się ona przewinąć. W końcu ostatni redaktor tekstu dodał do niej nawet epilog, który pozostał do dzisiaj nieodłączną jej częścią. To on również napisał: „pisaniu wielu ksiąg nie ma końca” (Koh 12,12), przewidując, iż Księga Koheleta skłaniać będzie do mnogich interpretacji oraz komentarzy. I tak Ravasi zauważa, że gdy Lorenzo Di Fonzo pisał w 1967 roku własny komentarz do Eklezjastesa, załączył do niego przy okazji bibliografię już wtedy zajmującą siedemnaście stron. Nie można też nie wspomnieć o ogromnym wpływie tej księgi na kulturę całego świata. Nawiązania do Koheleta pojawiały się zarówno w tekstach związanych z różnymi religiami, jak i w literaturze światowej (można się ich doszukiwać nawet w *Hamlecie* Szekspira). A znamiennym przykładem byłby fragment pierwszego rozdziału *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis:

⁴ Gianfranco Ravasi pisze szerzej o aspekcie autorstwa Księgi Koheleta w swej książce *Kohelet. Najbardziej oryginalna i „skandaliczna” Księga Starego Testamentu* w pierwszym rozdziale, zatytułowanym *Zagadka autora*; stamtąd głównie czerpałem swoją wiedzę na ten temat, którą wykorzystałem w tym fragmencie.

Największą mądrością jest dążenie do królestwa niebieskiego przez wzgardzenie światem. Tak więc marnością jest szukanie doczesnych bogactw i pokładanie w nich nadziei.

Marnością jest także ubieganie się o zaszczyty i wynoszenie nad innych.

Marnością jest uleganie pragnieniom ciała i pragnienie tego, za co później grozi ciężka kara.

Marnością jest pożądanie długiego życia i brak dostatecznej troski o dobre życie.

Marnością jest myślenie wyłącznie o życiu teraźniejszym, a zapominanie o przyszłym.

Marnością jest miłowanie tego, co szybko przemija, w miejsce spieszego dążenia do krainy wiecznej radości⁵.

Książka ta zresztą ma wyjątkowo wiele punktów zbieżnych z Eklezjastesem. Ten poradnik życia chrześcijańskiego w swym wydźwięku pozostaje mocno zanurzony w naukach Koheleta. Można by stwierdzić, że jeszcze je rozbudowuje i przekłada na nowo, bardziej przystępnym językiem, niejako w podpunktach przedstawia, jak powinien postępować dobry chrześcijanin we wszystkich aspektach życia duchowego oraz fizycznego. Poza tym również i przy tej pozycji powstał duży spór o przypisanie konkretnej osobie autorstwa. Do dzisiaj przyjmujemy, że *O naśladowaniu Chrystusa* napisał Tomasz à Kempis, choć nie jest to rzecz pewna. Utwór ten miał jednak – podobnie jak Księga Koheleta – ogromny wpływ na kulturę, a wiedzę z niego czerpali chociażby Adam Mickiewicz czy Bolesław Prus.

Wracając do Księgi Koheleta, jej pierwszy polski przekład mógł pojawić się już w Biblii królowej Zofii, uznawanej za najstarsze polskie tłumaczenie Starego Testamentu. Istnieje jednak hipoteza, że średniowiecznych polskich przekładów Biblii mogło być więcej, ale zniszczono je w wyniku prześladowań antyhusyckich⁶. Głównym autorem przekładu wykonanego w dwóch tomach na zlecenie królowej Zofii Holszańskiej – żony Władysława Jagiełły – był Andrzej z Jaszowic, teolog Akademii Krakowskiej i proboszcz nowego miasta Korczyn. Jednak pergaminowy rękopis, powstający w latach 1453–1455, nie ukazałby się oczywiście bez pomocy innych kopistów, w tym ostatniego z nich – Piotra z Radoszyc. Jednakże Biblia królowej Zofii, inaczej zwana Biblią szarospatacką, nie została ukończona, a ponadto po drugiej wojnie światowej przetrwały jedynie dwie karty z drugiego tomu, pozostałe w bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu, oraz urywek karty, przechowywany w Bibliotece Muzeum Narodowego w Pradze. Trudno byłoby więc zapoznać się z pierwszym polskim przekładem Eklezjastesesa, chociaż krążą pogłoski, iż tom pierwszy znajduje się w Moskwie, a próbę jego odnalezienia podjął nawet polski profesor, Wiesław Wydra, ale na próżno. Mimo to Biblia królowej Zofii pozostaje jednym z najważniejszych zabytków polskiego piśmiennictwa okresu staropolskiego⁷.

⁵ Tomasz à Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, przekł. W. Szymon OP, Kraków 2014, s. 20.

⁶ A. Brückner, *Dzieje języka polskiego*, Lwów 1913, s. 91.

⁷ Informacje na temat historii Biblii królowej Zofii zaczerpnąłem ze strony: https://whk.up.krakow.pl/zabytki/b_

Pierwsze wydanie tłumaczenia Księgi Koheleta na język polski pod tytułem *Ecclesiastes. Księgi Salomonowe*, opublikowane przez Hieronima Wietora w przekładzie Hieronima z Wielunia, datujemy na rok 1522. Co oznacza, że pojawia się ono jeszcze przed *Psalterzem krakowskim* oraz rękopiśmiennym *Żołtarzem Dawidowym* Walentego Wróbla. Przekład ten długo budził małe zainteresowanie, spowodowane w głównej mierze ubogą wiedzą biograficzną na temat Hieronima z Wielunia, który zresztą pisał również pod nazwiskiem Spiczyński, a z początku rozróżniano ich jako dwóch oddzielnych autorów.

Jak się okazuje, kiedy Hieronim dokonywał tego tłumaczenia na podstawie Wulgaty, był w bardzo młodym wieku, bo koło dwudziestu lat (później zasłynął również tłumaczeniami Erazma z Rotterdamu czy przekładem zielnika *O ziołach tutecznych i zamorskich i o mocy ich, a k temu księgi lekarskie*). Jest to o tyle ciekawe, że w tamtym okresie dorobek translatorski związany z Pismem Świętym w Polsce był niewielki. Jego tłumaczenie miało być pierwszym osobnym przekładem konkretnej księgi biblijnej. Podjął się on trudnego zadania, ale należy przyznać, że podołał wyzwaniu. Musiał świetnie opanować łacinę podczas studiów na Akademii Krakowskiej, gdyż jego tłumaczenie nie pozwala stwierdzić, jakoby Hieronim miał większe problemy z rozumieniem znaczeń wyrazów czy konstrukcji składniowych tekstu w Wulgacie, aczkolwiek zdarzało mu się inaczej interpretować niektóre sformułowania, na co wskazują pewne odmienności względem oryginału. Przez większą część swego przekładu tłumacz jest jednak wyjątkowo dokładny, próbuje być jak najbliższy pierwotnemu znaczeniu słów – przykład: *melior est canis vivus leone mortuo* – „Lepszy jest żywy pies niż martwy lew”⁸ (Koh 9,4). Tej momentami wręcz bezmyślnej dosłowności w translatoryce Hieronima towarzyszy bardzo uboga składnia. Dlatego też *ad tempus* (‘na chwilę, na czas oznaczony’) tłumaczy on „na czas”⁹.

Mimo to Hieronimowi zawsze udaje się osiągać zgodność z tekstem Wulgaty na poziomie sensu i wydaje się dużo lepiej rozumieć większość metaforyki od późniejszych tłumaczy tej księgi, takich jak ksiądz Wujek czy ksiądz Mikołajewski. W swym przekładzie używa również zgrabnie synonimów, chociażby „praca” i „robotą” dla słowa *laborare*.

Kolejnym polskim tłumaczeniem Księgi Koheleta zapisał się w historii Marcin Bielski. Znany jest on z przekładu *Żywotów filozofów, to jest mędrców nauk przyrodzonych* czy opracowania pierwszego pełnego katolickiego przekładu Nowego Testamentu, a przede wszystkim ze stworzenia pierwszych polskojęzycznych dziejów świata od czasów biblijnych po

zofii.html (dostęp: 9.05.2024).

⁸ Księga Koheleta 9,14, cyt. za: H. Spiczyński, *Ecclesiastes, księgi Salomonowe*, które polskim wykładem kaznodziej-skie mianujemy, Wieluń 2000.

⁹ Rozważania na temat tłumaczenia Hieronima z Wielunia czerpię z artykułu Hieronim z Wielunia – utalentowany tłumacz *Księgi Koheleta (Eclesiastes)* z 1 poł. XVI w. Jana Godynia. Warto też jednak przy okazji wspomnieć o pracy Anny Lenartowicz-Zagrodnej „*Eklezjastes*” Hieronima z Wielunia (1522). *Transliteracja i transkrypcja. Monografia języka*, która bardzo dogłębnie pochyla się nad tym pierwszym polskim tłumaczeniem Księgi Koheleta.

drugą połowę XVI wieku – mowa o *Kronice, to jest historyji świata*, wydawanej w roku 1551, 1554 (to właśnie w tym wydaniu pojawia się jego tłumaczenie Koheleta) czy 1564. Bielski swojego przekładu dokonał najprawdopodobniej na podstawie Wulgaty, chociaż tytuł rozdziału, poświęconego w *Kronice* Koheletowi, mógłby insynuować czerpanie z tekstu hebrajskiego:

o księgach Salomonowych, które zowiemy Eklezyjastes albo Kaznodzieja, to jest Salomona, bo trzemi imiony Salomona Pismo Święte zowie, to jest: Salomon, Pacificus i Eklezyjastes, po żydowsku Coelet, według wykładu własnego żydowskiego¹⁰.

Tłumaczenie Bielskiego wyróżnia się przywiązaniem do określenia „marność”, podczas gdy w późniejszych przekładach zamieniano ją na „próżność”. Taki zabieg można zaobserwować przy czytaniu zarówno Biblii brzeskiej, jak i Biblii nieświeckiej. Pojawia się tam: „Próżność nad próżnościami” zamiast: „Marność nad marnościami”. *Słownik staropolski* głosi, że przymiotnik „marny” oznaczał bezwartościowy (szczególnie moralnie), a według *Słownika polszczyzny XVI wieku*: „mający pozorną przemijającą wartość”¹¹. Bielski czasem w ramach synonimu do marności używał określeń: „trapienie ducha”, „wszetczność ducha” bądź „zła niemoc”¹². Porównując jego przekład z tłumaczeniem Spiczyńskiego, u Hieronima naliczyć można trzydzieści użycie słowa „marność”, u Bielskiego dwadzieścia cztery, a w samej Wulgacie *vanitas* pada trzydzieści jeden razy. Jest to związane z wcześniej wspomnianymi synonimami, których używa autor *Kroniki* – przykładowo: „widząc wszystkie rzeczy złe pod niebem a wszelka marność i udręczenie ducha”¹³. Bielski lubił również skracać tekst podstawowy, używając na przykład określenia „marność ostateczna” zamiast „marność nad marnościami”¹⁴.

Po Bielskim w 1561 roku w Krakowie wydano pierwszy drukowany polski przekład całego Pisma Świętego – mowa o Biblii Leopolicy, nazywanej również Szarffenbergowską, gdyż wykonano ją na zamówienie Marka Szarffenberga oraz jego syna, Stanisława. Tytułowym Leopolitą był ksiądz Jan Nicz z Lwowa, profesor teologii Akademii Krakowskiej, który poprawiał tekst Biblii, posługując się średniowiecznym niezachowanym przekładem. Co ciekawe, przez kolejne trzydzieści osiem lat to wydanie było jedynym katolickim drukowanym przekładem Pisma Świętego na polski.

¹⁰ M. Bielski, *Kronika, to jest historyja świata*, t. 1–3, Szczecin 2019.

¹¹ spxvi.edu.pl (dostęp: 12.04.2025), staropolska.pl (dostęp: 12.04.2025).

¹² M. Bielski, dz. cyt.

¹³ Tamże.

¹⁴ O charakterystyce przekładu Bielskiego czytałem w artykułach: *Koheletowa „marność” według Marcina Bielskiego na tle wybranych XVI-wiecznych przekładów biblijnych* Doroty Kozaryń w „Świat i Słowo” 2022, t. 39, nr 2, s. 105–116, *O niektórych właściwościach przekładu Księgi Koheleta Marcina Bielskiego* Edwarda Jakiela w „Studiach Ełckich” 2022, t. 24, nr 1, s. 23–26.

Tuż po roku 1561 ukazuje się pierwsza poetycka adaptacja Koheleta, stworzona przez Franciszka Śniadeckiego. Jest to nad wyraz liryczne dzieło, w którym autor konsekwentnie posługuje się rymami sąsiadującymi. Stosuje również określenie „próżności” zamiast „marność”. Konstruuje on własną *Króciutką Przedmowę*, własny epilog *Do tego co przeczytał*, a swój przekład obarcza tytułem *Vanitas Vanitatum*.

Potem następują dwa protestanckie wydania Pisma Świętego. Pierwszym z nich jest Biblia brzeska, zawdzięczająca nazwę miejscu wydania; zwana jest również Biblią Radziwiłłowską od nazwiska fundatora bądź Biblią pińczowską od miejsca dokonania tłumaczenia. Ten wydany w 1563 roku przekład protestantów wskazywany był jako pierwsze tłumaczenie całego Pisma Świętego z języka hebrajskiego oraz greckiego. Jednak fakt ten został poddany sporej krytyce – wielu zarzucało, że jest to przekład z łaciny, i tak też najprawdopodobniej było.

Zarówno w Biblii brzeskiej, jak i nieświeskiej, czytając Eklezjastesa, zauważyć można przełożenie marność na próżność. Obie te Biblie trafiły również do pierwszego polskiego indeksu ksiąg zakazanych w 1603 roku. Jednak prócz tych zbieżności warto zauważyć, że wydana w 1572 roku Biblia nieświecka była swoistą odpowiedzią Szymona Budnego na tłumaczenie polskich kalwinistów. Polsko-białoruski uczoney miał wiele zastrzeżeń do tego przekładu, dlatego też zdecydował się na własny, tym razem rzeczywiście z języka hebrajskiego, greckiego, a także apokryfów. Przez to wprowadził sporo hebraizmów, neologizmów, stosował tetragram, nazywając Boga „Jehowah”.

W 1590 roku ukazuje się kolejna poetycka parafraza Księgi Koheleta, stworzona przez Jana z Sanoka. Również zastosowano tu rym sąsiadujący. Autor opatrzył też swe dzieło długim tytułem, który można przeczytać na pierwszej stronie – *Ecclesiastes Księgi Salomona Króla Izrahelskiego, po Polsku Kaznodziejskie nazwane. Vanitas vanitatum, & omnia Vanitas* oraz wstępem *Do Czytelnika*. Tu też warto zaznaczyć, że Jan z Sanoka używa zarówno wyrazu „marność”, jak i „próżność”. Wnikliwym opracowaniem opatrzyła tę parafrazę Małgorzata Krzysztofik¹⁵.

W 1599 roku zostaje wydana Biblia Jakuba Wujka, jeden z najważniejszych przekładów Pisma Świętego z tamtego okresu. Było to kolejne tłumaczenie z Wulgaty (ale konfrontowane również z *Poliglotą antwerpską*) dokonane przez jezuickiego księdza na zlecenie władz zakonnych i po uzyskaniu odpowiedniej zgody papieża Grzegorza XIII. Wujek w przekładzie Eklezjastesa nie jest już tak dosłowny jak Hieronim, lecz charakteryzuje się staraniem, by jego tłumaczenie było jak najprzystępniejsze w odbiorze. Ten Wujkowy styl będzie przyświecał większości kolejnych polskich translatorów Pisma Świętego.

Biblia gdańska stanowi jedno z najpopularniejszych polskich tłumaczeń protestanckich. Można by rzec, że to protestancki odpowiednik katolickiej Biblii Jakuba Wujka. Prace

¹⁵ Zob. Jan z Sanoka, *Ecclesiastes Księgi Salomona, króla izrahelskiego, po polsku Kaznodziejskie nazwane*, oprac. M. Krzysztofik, „Biblioteka Tradycji” 2015, nr 75, s. 77.

nad nią trwały długo. Początkowo w 1600 roku przekład powierzono pastorowi Marcinowi Janickiemu; po wielu komplikacjach jego wersja nigdy się nie ukazała, a rękopis zaginął. Ostatecznie wydano ją 18 listopada 1632 roku w drukarni Hünefelda w Gdańsku. Później do XIX wieku wydawano ją 6 razy (1632, 1660, 1726, 1738, 1768, 1779) i wielokrotnie w wieku XIX i XX. Wskazać można by w szczególności tłumaczenia z roku 1834, 1881 – po rewizji warszawskiej – współczesną wersję z 2008 i najnowszą z 2019 roku. Warto zwrócić uwagę na fakt, że to protestanckie tłumaczenie wyzbywa się pseudonimu Koheleta, zamieniając go w Kaznodzieję – spolszczony odpowiednik Eklezjastesa.

Kolejnym w chronologii przekładem Księgi Koheleta po wydaniu Biblii gdańskiej jest parafraza Herakliusza Lubomirskiego z 1702 roku. W jej przedmowie autor od razu deklaruje czytelnikowi wierność wobec Wulgaty, co szybko zauważa się w samym tekście. Lubomirski jest w swoim przekładzie dokładny do tego stopnia, że tłumaczy przykładowo *spiritus* zawsze jako „duch” zamiast poprawnego Wujkowego przełożenia „wiatr” albo bardziej pasującego do kontekstu „gniew”. Lubomirski powtarza jednak za Wujkiem terminologię nowotestamentową, związaną z życiem pośmiertnym i popełnia te same błędy, co jezuita w swoim tłumaczeniu¹⁶. Po baczniejszym przyjrzeniu się tekstowi Lubomirskiego można dojść do wniosku, że istotnie w pierwszej kolejności kierował się on wydaniem Wujka, a potem dopiero samą Wulgatą.

W 1761 roku ukazuje się wierszowana adaptacja paulina – ojca Patrycego Mnińskiego – *Ecclesiastes Salomona*¹⁷. Na samym początku w tym wydaniu pojawia się jeszcze *Kilka słów o stanie literatury polskiej za Augustów Sasów*, a na koniec *Powitanie*. Ponownie występuje rym sąsiadujący. Od razu jednak zwraca uwagę pominięcie słynnego początku. Zostaje on jedynie przytoczony w formie łacińskiego cytatu – *Vanitas vanitatum, dixit Ecclesiastes, et omnia vanitas*¹⁸. Nie jest to wyjątkiem, gdyż łaciński cytat rozpoczyna każdy z dwunastu rozdziałów.

Za kolejny przekład Eklezjastesa z 1769 roku odpowiadał ojciec Marcin Kurzeniecki. Ten polski jezuita wydał swoje kazania, opracował katechizm i *Wykład pisma Starego i Nowego Testamentu* (tytułu nie podaję w całości, gdyż jest wyjątkowo długi) z 1769 roku, w którym znajdziemy *Wykład Xięgi Ecclezyastyka*, opatrzone pięćdziesięcioma rozdziałami. Choć jest to swoista adaptacja Koheleta, gdzie Kurzeniecki prowadzi swój wykład, wykorzystując myśl Eklezjastesa i ustosunkowując się do jego nauki, to trudno byłoby ją jakkolwiek zestawiać z tekstami przekładów chociażby Wujka czy Hieronima. W tym przypadku założeniem

¹⁶ Zwraca na to uwagę Estera Lasocińska w swym artykule *O „Eklezjastesie” Stanisława Herakliusza Lubomirskiego – słowo i słowo* w „Pamiętniku Literackim” 1999, z. 2, s. 133–152.

¹⁷ Ostatecznie *Ecclesiastes Salomona* nigdy nie ukazał się drukiem, a Maria Adamczyk w artykule na łamach ósmego tomu literackiej serii poznańskich „Studiów Polonistycznych” 1980 udowodniła, że jest to plagiat parafrazy Herakliusza Lubomirskiego.

¹⁸ *Ecclesiastes Salomona*, wierszem polskim tł. przez Patrycego Mnińskiego, Żytomierz 1860.

nie jest sam przekład oryginału, a stworzenie owego wykładu, czyli w zasadzie samodzielny, oryginalny twór Kurzenieckiego, jedynie nawiązujący do samej Księgi Koheleta.

W 1846 roku powstaje zaś parafraza jednego z bardziej znaczących poetów polskiego romantyzmu, Kornela Ujejskiego. Większość pisanej przezeń poezji skupiała się wokół tematów religijno-mesjanistycznych; często też stylizował swe teksty na kształt psalmów bądź modlitw. Ujejski w swym tomiku, nazwanym *Pieśni Salomona*, nie parafrazuje jednak tylko Koheleta, ale również jeszcze jedną księgę Starego Testamentu wspominającą króla Salomona – *Pieśń nad Pieśniami* – od której zaczyna swój tomik. Część poświęconą Eklezjaście tytułuje *Kaznodzieja*. (*Koheleth.*), ale już w samym tekście używa słowa Ekleziasta. Pojawiają się u niego rymy krzyżowe, a każdemu z dwunastu rozdziałów nadaje również własne tytuły. Zaś ciekawe odmienności (związane z marnością czy użyciem określenia „rodzaj”) w jego przekładzie rzucają się w oczy już w pierwszym rozdziale nazwanym *Zawsze jak zawsze*:

Marność i marność i wszystko marność!
Te słowa rzekł Ekleziasta.

Za naszą pracę i gospodarność
Jakaż nam korzyść wyrasta?
Rodzaj przemija, rodzaj nadchodzi
Spiesząc do grobu podwoi,

Aby umierać wszystko się rodzi.
I tylko ziemia co stoi¹⁹.

Bardzo ciekawa i zupełnie różna od wcześniej zaprezentowanych przekładów jest parafraza Eklezjastesa autorstwa Włodzimierza Zagórskiego. Ten polski satyryk, znany również pod takimi pseudonimami jak Chochlik czy Publikola, odpowiada najprawdopodobniej za *XIII Księgę Pana Tadeusza*, czyli pornograficzną parodię dzieła Adama Mickiewicza. Prócz niej z pewnością pozostaje autorem poematu lirycznego *Król Salomon: poemat liryczny w 3 pieśniach* z 1887 roku, inspirowanego również *Pieśnią nad Pieśniami* (Zagórski wierzył, iż istotnie Salomon był autorem obydwu ksiąg – *Pieśń nad Pieśniami* miał napisać w młodości, a *Księgę Kaznodziei* już w podeszłym wieku). Ponadto Zagórski zadedykował ten utwór Aleksandrowi Głowackiemu, czyli Bolesławowi Prusowi. Autor stosuje rymy okalające. Swój poemat zamyka w trzech „pieśniach” (według tytułu), kolejno zatytułowanych *Vanitas Vanitatum*, *Vae Soli* i *Sulamit*. Pierwsza z nich, służąca za parafrazę Koheleta, rozpoczyna się następująco:

Marność jest klątwą ziemi syna,
A działem jego – nieświadomość,

¹⁹ K. Ujejski, *Pieśni Salomona*, Poznań 1846, s. 51.

A losem jego dzieł – znikomość,
A imię jego – proch i glina!²⁰

W 1890 roku ukazał się kolejny wierszowany przekład Eklezjastesa, wykonany przez księdza Kazimierza Buczkowskiego, wydany wspólnie z *Księgą Joba*, *Trenami Jeremiasza* oraz *Pieśnią nad Pieśniami*. Autor odpowiada również za inne biblijne adaptacje. Samą parafrazę Koheleta tytułuje *Eklezjastes*, czyli *Kaznodzieja Salomona (Koheleth)*. Można by się zastanawiać, czy imię Salomona ma tu funkcjonować w formie dopełniacza, czy Buczkowski nawiązuje w ten sposób do żeńskiej końcówki rzeczownika „Kohelet”. Także pojawia się u niego podział na rozdziały, używa zaś rymów sąsiadujących.

Kolejną trawestacją Koheleta zajął się sam Jerzy Żuławski, czyli autor *Trylogii księżycowej*, niezwykle odkrywczej dla gatunku science fiction w polskiej literaturze. Głównym celem jego parafrazy było ukazanie Eklezjastesa jako księgi przedstawiającej bezsens ludzkiej egzystencji. Jednak powtarzając za Edwardem Jakiem: „Wbrew zapewnieniom autora dzieło jego nie jest wiernym przekładem z hebrajskiej podstawy, ale dalece zmodyfikowaną parafrazą osadzoną w tradycji Wulgaty”²¹.

Ostatnim zaś przekładem Koheleta w XIX wieku jest wierszowana adaptacja Joachima Nirnsteina z 1898 roku. Swoją trawestację zatytułował on (*Ecclesiastes*) *Koheleth*, czyli *Kazania Salomona* i już na stronie tytułowej przyznał się do tłumaczenia z języka hebrajskiego. Do stworzenia tego dzieła doszło dzięki przychylnemu przyjęciu wcześniejszej pracy Nirnsteina – *Przysłowiom Salomona* z 1895 roku. W swoim tekście autor używa rymów sąsiadujących i dzieli swą parafrazę na numerowane rozdziały. Nowością dla tego typu trawestacji jest wprowadzony przez Nirnsteina podział na numerowane strofy.

²⁰ W. Zagórski, *Król Salomon: poemat liryczny w 3 pieśniach*, Warszawa 1887, s. 21.

²¹ E. Jakiel, *Nad wersetami Kohelety. O parafrazie Jerzego Żuławskiego – prolegomena*, „Ateneum Kapłańskie” 2021, t. 177, z. 2 (675), s. 298–309.

Bibliografia

- Brückner A., *Dzieje języka polskiego*, Lwów 1913, s. 91.
- Bielski M., *Kronika, to jest historyja świata*, t. 1–3, Szczecin 2019.
- Godyń J., *Hieronim z Wielunia – utalentowany tłumacz Księgi Koheleta (Ekleziastes) z 1 poł. XVI w.*, Kraków 2002.
- Ecclesiastes Salomona*, wierszem polskim tł. przez Patrycego Mnińskiego, Żytomierz 1860.
- Jakiel E., *W biblijnym kręgu twórczości Józefa Jankowskiego. Kohelet*, Gdańsk 2020.
- Jakiel E., *Nad wersetami Kohelety. O parafrazie Jerzego Żuławskiego – prolegomena*, „Ateneum Kapłańskie” 2021, t. 177, z. 2 (675).
- Jakiel E., *O niektórych właściwościach przekładu Księgi Koheleta Marcina Bielskiego*, „Studia Ełckie” 2022, t. 24, nr 1.
- Jan z Sanoka, *Ecclesiastes Księgi Salomona, króla izraelskiego, po polsku Kaznodziejskie nazwane*, oprac. M. Krzysztofik, Biblioteka Tradycji, nr 75, Kraków 2015.
- Kozaryn D., *Koheletowa „marność” według Marcina Bielskiego na tle wybranych XVI-wiecznych przekładów biblijnych*, „Świat i Słowo” 2022, t. 39, nr 2.
- Księga Koheleta [w]: *Biblia Tysiąclecia*, red. K. Dynarski, Poznań–Warszawa 1990.
- Lasocińska E., *O „Eklezjastese” Stanisława Herakliusza Lubomirskiego – słowo i słowo*, „Pamiętnik Literacki” 1999, z. 2.
- Lenartowicz–Zagrodna A., *„Eklezjastes” Hieronima z Wielunia (1522). Transliteracja i transkrypcja. Monografia języka*, Łódź 2011.
- Piwovar A., *Marność ludzkiego życia w Księdze Koheleta?*, „Verbum Vitae” 2014, t. 24.
- Ravasi G., *Kohelet. Najbardziej oryginalna i „skandaliczna” Księga Starego Testamentu*, przeł. J. Skrzybnik, Kraków 2009.
- Spiczyński H., *Ecclesiastes, księgi Salomonowe, które polskim wykładem kaznodziejskie mianujemy*, Wieluń 2000.
- Szamocki A., *Boża odpłata według Koheleta*, „Studia Gdańskie” 2009, t. 25.
- Tomasz à Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, przeł. W. Szymon OP, Kraków 2014.
- Zagórski W., *Król Salomon: poemat liryczny w 3 pieśniach*, Warszawa 1887.

Źródła internetowe

- <http://bibliepolskie.pl/index.php> (dostęp: 9.05.2024).
- <https://fbc.pionier.net.pl/> (dostęp: 9.05.2024).
- spxvi.edu.pl (dostęp: 12.04.2025).
- staropolska.pl (dostęp: 12.04.2025).
- https://whk.up.krakow.pl/zabytki/b_zofii.html (dostęp: 9.05.2024).

OUTPOSTS ARTYSTYCZNE

MARI HORDEJUK

Okradam ulicę

Moją ostatnią zdobyczą jest... nie. Moją najnowszą zdobyczą są karty. Właściwie to talia kart, znalazłam je porozrzucane na chodniku, niekompletne, więc może nie talia. Błyszczący rewers imitował banknot pięćset euro, pewnie miało to pomóc w wygranej. Ale znalazłam te karty niedaleko pubu studenckiego we Wrzeszczu, więc o jak wielkie kwoty mogli grać? Prędzej zostały wyrzucone, bo nie przyniosły szczęścia, nie wiem, jakie są teraz zwyczaje na politechnice. Położyłam je obok innych, przygarniętych z katalońskiej uliczki Carrer del Consell de Cent w miasteczku zwanym Barceloną. Te były w gorszej kondycji, znalazłam je przy miejskim śmietniku. Ale miały na sobie logo Michelina, tego ludzika z opon, i nie mogłam się oprzeć. Świetny marketing. Choć znalazłam te karty przy koszu... Nie były tamtejsze, tak jak ja. Pudełko opisane było po francusku. Po francusku w Hiszpanii, ale właściwie to nie w Hiszpanii, tylko w Katalonii, to bardzo ważne. Znalezione przez Polkę. Lubię takie gry. Z kim? Chyba ze Światem. Kiedy nie ma innej odpowiedzi, nie ma komu dziękować lub na kogo zrzucić winy: Świat!

Skłamałam. Nie położyłam nowych kart obok barcelońskich, bo barcelońskie zostały w innym mieście, ale tutaj nie lubią tego miasta, więc nie będę mówić głośno, wiesz, o co mi chodzi. Położyłam ową nie-talię obok innych kart, przysięgam. Obok kart znalezionych w Chęcinach, na zamku. Ten zamek, co ma trzy wieże jak kominy, które w środku nocy przypominają butelki wódki, choć podobno tylko mnie. To był wyjazd integracyjny. W środku zimy wspinaliśmy się na szczyt góry, aby zobaczyć Chęciny nocą. Trochę strasznie – kto stawia drewniane posągi władców Polski przy chodniku, jak upiory? Pomniki nie mogą być drewniane. Rzeźby, no tak. Karty okazały się kompletne! Szalone, że nikt ich nie chciał. Czekały w ośrodku, gdzie spaliśmy, aż ktoś zabierze je po imprezie, i nikt się nie zgłosił. Leżały na korytarzu, niezbyt piękne, klasyczne, ale nie mogłam ich zostawić. Powiedziałam, że na zamku? Lepiej brzmiało. Kolejna talia do kolekcji kart i nie-kart. I nie-talii.

To wszystko dla wspomnień. Kleptomania? Właściwie to chyba kradnę te wspomnienia, choć nie wiem, komu. Okradam już nie tylko ulicę. Kieliszki z knajp, z barów, którym nie brakuje dochodów. Tak sobie wmawiam, może jestem gorszą osobą, niż mi się wydaje. Robin Hood ze mnie nie jest. Nie dzielę się znaleźskami. Kto by chciał śmieci z ulicy? Moi znajomi nie są aż tak świrnięci. Żartuję. Są bardziej. Ale w swoich dziwactwach wydają się normalni, fascynujący, wyraziści. Niezapominalni. Gdybym znalazła ich na ulicy w postaci przedmiotów, zebrałabym wszystkich łączywie. Dostaliby własną półkę. Czy ktoś by mnie zebrał z ulicy?

Karty leżą obok ludzika Lego. Uroczego kościotrupka, którego pożyczyłam od kolegi z zamiarem nieoddania nigdy. Ma czapeczkę, coś pomiędzy pilotką a harlejówką, do tego okulary przeciwsłoneczne. Niezwykle uroczy, nie mogłam się oprzeć. Kolega o tym nie wie, kto by zresztą przejmował się ludzikiem Lego? Ja bym go nie oddała. On pewnie też nie. Dlatego nigdy się nie dowie. Jestem dobra w tę grę. W ogóle uwielbiam gry. Szczególnie słowne. Zdziwieni, prawda? W końcu jestem taka niesłowna.

Znalazłam bransoletkę na podłodze w Macdonaldzie i brzmi to absurdalnie, ale to moje ulubione wspomnienie z wakacji. To było w Krakowie, blisko rynku. Tłum i czarny sznureczek z wisiorkiem linii życia na podłodze. Nic nie zamówiłam, co ja w ogóle robiłam w Macdonaldzie? Ulewa koszmarna, prawie mnie rower przejechał. Nic mi się nie stało, ale niemal odskoczyłam pod tramwaj i wtedy już byłoby gorzej. Czekałam, aż deszcz się uspokoi, a tak naprawdę obserwowałam, czy ktoś wróci po bransoletkę. Nikt nie szukał czarnego sznureczka na podłodze w Macdonaldzie, więc nie mogłam go tak zostawić, zapomnianego w brudach, trafiłby do kosza. Nie ukradłam. Zawiesiłam linię życia przy nadgarstku, niby symbolicznie, ale głupio to brzmi, bo gdzie indziej miałam zawiesić bransoletkę?

Znajduję na ulicy tyle skarbów, choć nigdy ich nie szukam. Nie wpadło mi natomiast w ręce jeszcze to, czego najbardziej szukam od lat. Lekarstwo. Dla Pani S. Pani S. mieszka nade mną od kilkunastu lat. Mijamy się przy ogródku osiedlowym, na klatce schodowej. Raz spotkałyśmy się w piwnicy, podskoczyłyśmy jak w kreskówce i wspominałyśmy to potem przez pół roku, tak jak łapie się byle temat, by o czymś rozmawiać. Podleвам jej kwiaty, gdy wyjeżdża na wakacje czy święta, ale rzadko to robi. Odwiedzają ją koleżanki, widziałam je na korytarzu i tak się zastanawiam, skąd ona ma czas jeszcze do mnie zajrzeć. Bo często schodzi nam kilka godzin na rozmowach o codzienności. Ani o mnie, ani o niej, tylko jakoś tak o wszystkim innym. Co wyrosło w ogródku sąsiedzkim, jaki nowy album jest warty przesłuchania, kiedy skończą się prawdziwe polskie owoce w sklepach. Pani S. zna moją kolekcję. Widziała, jak podnoszę śrubkę z chodnika przy śmietniku i musiałam się wytłumaczyć. Myślałam wtedy, że to malutka rzeźba, a właściwie nikt mi nie wmówi, że tak nie jest. Niestety Pani S. nie przepada za karciankami, więc rozwiązujemy krzyżówki, bo łączy nas zamiłowanie do słownych łamigłówek. Nie wiem też, skąd ja mam tyle czasu, ale zawsze jak przychodzi, to nie mam planów. Jak komuś dziękować, to Światu.

Moją ostatnią zdobyczą będzie owo lekarstwo dla Pani S. Nie jest zbyt schorowana, sumiennie dba o zdrowie, ale może jak pomogę, to będzie jej miło. Kochana kobieta, wspiera mnie, choć właściwie rozmawiamy głównie o codzienności. Ale wstępuje często na herbatę, a ja już wiem, że jej ulubione są ciastka holenderskie z czekoladą, więc nigdy ich u mnie nie brakuje. Nasze pierwsze spotkanie nie było takie miłe. Zapukała do mnie: – Co to za hałas? Niech pani uciszy znajomych, a ja na to: – Ale nikogo nie ma, jestem tylko ja. Najwyraźniej słyszała, jak mówię do siebie. Może przez litość twarz jej się wtedy zmieniła i spytała, czy mam czarną herbatę, bo u niej się skończyła, a to niedziela. Wiem, jak to jest w niedzielę, więc zaprosiłam ją na herbatę, choć raczej nie mogłam odmówić. Musiałam ją uspokoić, że nie jestem wariatką. Nie miałam wtedy holenderskich z czekoladą i znowu jakby zrobiło jej się mnie żal. Nie smutno, w końcu dostała herbatę, ale żal, że ktoś spędza dni bez holenderskich z czekoladą. Właściwie mi też teraz szkoda, że nie każdy trzyma obok herbaty pudełko holenderskich z czekoladą.

Zgubiłam tę bransoletkę. Czarny sznureczek na podłodze w Macdonaldzie. Głupio się przyznać. Nie pamiętam już, gdzie. Oby została znaleziona przez kogoś innego. Niezapominalna.

PAWEŁ KWIATKOWSKI

Tu nie ma miejsca dla świętych

JESSE

Dźwięk buczonego budzika rozniósł się po całej chałupie. Jesse nienawidził go, dlatego że po pierwsze – oznaczał koniec spania, a po drugie – melodia wygrywana przez niepozorny zegarek była nadzwyczaj okropna. Młody Brown od dawna zamierzał ją zmienić, ale zawsze dochodził do wniosku, że jeszcze nigdy nie zasnął, co oznaczało, że budzik chyba wykonuje swoją robotę prawidłowo. Tego poranka oczywiście było tak samo. Chłopak ciągle jeszcze znużony snem wyjął rękę spod kołdry w poszukiwaniu hałasującego zegarka. Znał miejsce jego położenia na pamięć, więc Bogu dzięki, nieprzyjemna melodia po chwili zniknęła całkowicie. Jesse dopiero otworzył oczy i jak co dzień ujrzał czarne wskazówki na białej tarczy zegarowej, wskazujące godzinę szóstą rano. Odetchnął ciężko, a następnie, zapierając się ze wszystkich sił, spróbował usiąść na skraju łóżka, nie było to jednak proste. Dopiero teraz odezwał się żołądek i nagle jakby cały organizm zakomenderował zmasowany atak. Zemsta za wczorajszy wieczór. Miał wypić jedno piwko, ale skończyło się klasycznie, więc dzisiejszego ranka trzeba było za to odpokutować. Suchość w gardle, potężna migrena oraz dziwne bóle w plecach. Najpewniej wczorajsze chłanie zakończyło się niejednym nieplanowym lądowaniem na ziemi. Chłopak zaklął i wreszcie podniósł się z łóżka. Strzyknęło w kościach, a żołądek wymógł natychmiastową wizytę w łazience.

Jesse Brown był dobrym chłopakiem. Nie miał żadnych wrogów, co prawda przyjaciół również, ale wszyscy darzyli go prawdziwym szacunkiem i cenili jego wkład w społeczność miasteczka. Od najmłodszych lat wydawał się ufny oraz pojętny, więc dzieciaki często na nim polegały. Niestety, bardzo szybko stał się sierotą, przez co mocno odsunął się na bok i unikał wszelkich głębszych relacji. Najpierw odeszła matka podczas porodu jego siostrzyczki, którą los postanowił zabrać wraz z nią. Ojciec zaś kilka lat później wybrał się

na wędrowkę po nieznanym szlakach górskich, z której już nie wrócił. I tak młody Brown w wieku czternastu lat stracił całą rodzinę, a następnie trafił pod skrzydła Starego O’Gilla, okolicznego wieszca, uważanego przez niektórych za wariata. Traktował chłopaka jak własnego syna i nauczył go wszystkiego o życiu, czego sam dowiedział się podczas swojej ziemskiej wędrowki. Mimo to Jesse ukrywał w sobie wiele smutku oraz żałości, które powodowały w nim nieokiełznaną chęć wyrwania się z tej dziury. Obiecał sobie, że opuści Nothing Hill raz na zawsze, bo w końcu, jak sama nazwa podpowiadała, w tym miasteczku na wzgórzu nie było zupełnie niczego. Marzył o podróżowaniu po całym świecie i wierzył, że wtedy wreszcie poczuje się szczęśliwy.

Niespodziewanie przyszła jedna z najmroźniejszych zim, jaką Nothing Hill kiedykolwiek znało. Wszyscy mieszkańcy niemalże przymierali głodem, a nieodparty chłód przepełniał ich domy. To właśnie wtedy straszliwy wypadek dotknął Starego O’Gilla. Mężczyzna widział, jak młody Brown przeżywa te mrozy, i nie potrafił zaakceptować faktu, że w żaden sposób nie może mu pomóc. Pewnej nocy schlał się na umór, po czym wyszedł po drewno. Blisko drugiej nad ranem Jesse’ego wybudził ze snu gryzący zapach dymu, który wywołał u niego potworny kaszel. Zaniepokojony chłopak zbiegł natychmiast na dół chaty, gdzie zastał przerażający widok. Pośrodku pokoju paliło się ognisko, które powoli rozprzestrzeniło się po całej chacie. Naprzeciwko niego, na stercie pustych butelek po alkoholu, siedział O’Gill, wpatrując się w ogień, jakby był zaczarowany. Jesse zareagował od razu. Chwytał swego przybranego ojca i wyniósł go przed palący się dom. Niedługo później wszyscy mieszkańcy pomagali w ugaszeniu pożaru, lecz gdy płomienie ustały, po chacie Starego O’Gilla zostały tylko zgliszcza. Ponadto okazało się, że mężczyzna musiał niezwykle długo wpatrywać się w ognisko z bardzo bliskiej odległości, gdyż nieodwracalnie stracił wzrok.

Ta kolejna tragedia w życiu Jesse’ego Browna dobiła go już maksymalnie. Stracił całą nadzieję i nie miał pojęcia, co zrobić ze sobą dalej. Jednak mimo tej chwili zawahania nie poddał się. Zaczął pracować jeszcze ciężiej, pomagając społeczności miasta, jak tylko potrafił. Do tej pory Stary O’Gill odpowiadał za transport nowych produktów zamówionych z miasta do Nothing Hill. Raz w tygodniu ruszał tam swoim wielkim czerwonym pikapem i wracał z masą nowych artykułów, które później lądowały w okolicznym sklepiku. Jednak oczywistym faktem było, że po stracie wzroku już nie będzie mógł się tym zajmować. Schemę tę przejął po nim właśnie młody Brown. Z czasem nawet polubił swoją nową robotę, bo dzięki niej mógł choć na chwilę uciec poza granice tego przeklętego miasta.

W końcu los się do niego uśmiechnął, przynajmniej na chwilę. Tuż po jego siedemnastych urodzinach do miasta zawitała tajemnicza indiańska wdowa z piękną córką, Inez. Miała śliczną ciemną karnację, długie, bujne włosy o barwie ciemniejszej niż pióra kruk, a w jej dużych, wyrazistych oczach można było zobaczyć wszystkie kolory tęczy. Jesse z miejsca zachwycił się urodą dziewczyny. Podobno przed laty na tych obszarach mieszkał jej ojciec wraz ze swym plemieniem. Był jednym z ostatnich Indian żyjących w zgodzie ze

swą tradycją i kulturą. Jednak przepędziło ich stąd jakieś nieokreślone zło, panoszące się ponoć w okolicy. Indiański wódz założył rodzinę w pobliskim mieście, by niedługo umrzeć ze starości we śnie. Żona zaś postanowiła pokazać córce, gdzie się wychowywała, i właśnie w ten sposób zawitała w Nothing Hill.

Rozbudzonego w młodym Brownie uczucia nie dało się powstrzymać. Co prawda O’Gill nie popierał tego związku, ale Jesse nie zamierzał odpuścić. Miłość pochłonęła go całego, a ku jego jeszcze większej radości okazało się, że Inez również podziela to uczucie. Dalej wszystko potoczyło się szybko. Młodzi zakochani spędzali każdą chwilę wspólnie, budując plany na przyszłość. Niedługo później wzięli ślub w miejscowym kościele. Jesse wybudował im piękny dom, a później oczekiwali narodzin ich pierwszego dziecka. Niestety, tutaj czar przysł. Dziewczyna poroniła, a rozpacz po stracie ogarnęła ją całkowicie. Nikt nie potrafił zapobiec kolejnej tragedii. Pewnego ranka Inez po kryjomu powiesiła się na jednej z gałęzi wielkiego dębu stojącego obok ich domu. Jesse nie potrafił sobie tego wybaczyć. Zamknął się w chacie i podobno nikt nie miał z nim kontaktu przez następne trzy miesiące.

Nie zdecydował się jednak podążyć śladami swej żony, a ponownie zacisnął zęby i spróbował wrócić do normalnego funkcjonowania, do wszystkich robót, jakimi zajmował się dotychczas w Nothing Hill. Ponadto zaczął opiekować się Sakari, matką Inez, która z czasem z nim zamieszkała.

Nie można zaprzeczyć, że Jesse Brown był dobrym chłopakiem. Znając jego trudny życiorys, mieszkańcy Nothing Hill nie mieli prawa wyrzucać mu, że zaczął pić. Bali się wprawdzie, by nie powtórzył błędów Starego O’Gilla, jednak nikt nie zamierzał go napominać. Do tej pory nadal pozostawał obowiązkowy i z pilnością przykładał się do realizacji wszystkich zadań. Zaś to, że wieczorami spędzał dużo czasu w karczmie Rudego Jima bądź zabierał dwie butelki czystej i zamykał się w czerwonym pikapie, który opuszczał dopiero nad ranem, ludzie woleli pozostawić jego własnej woli. Dzisiaj wypadła sobota, czyli dokładnie ten dzień, w którym Jesse co tydzień wyjeżdżał do miasta po nowe produkty dla sklepu w Nothing Hill. Auto przygotował specjalnie dzień wcześniej, zatankował i pozbył się wszystkiego w środku, tak by było wystarczająco dużo miejsca na zamówione artykuły, które miał transportować. Jednak przed samą podróżą, zajmującą mu z reguły koło trzech godzin w jedną stronę, nie mógł obyć się bez wstąpienia do karczmy Rudego Jima. Trzeba było w końcu coś poradzić na tego potwornego kaca.

Jesse pchnął nieduże drzwiczki i znalazł się w środku jedyne lokalu w mieście, gdzie podawano alkohol. Było zupełnie pusto, co go nie zdziwiło. W soboty o tej godzinie jedynie on był już na nogach.

– Jesse, witaj – przywitał go szczerym uśmiechem Rudy Jim, wybudziwszy się z lekkiego snu, który praktykował leżąc na ladzie baru. Był mężczyzną o krępej budowie, zezowatym spojrzeniu oraz rudych włosach zwiniętych w loki, od których wziął się jego pseudonim.

– Hej, Jim. Widzę, że cię obudziłem. – Chłopak oparł się o ladę baru.

– Spokojnie. Kiedy obsłużę cię, najpewniej będę znowu miał wolne do blisko dziesiątej. Wtedy odeśpię.

– Ale gdybym wczoraj nie balował u ciebie do późna, to nie musiałbyś dzisiaj odsypiać.

– Chłopaku, ja jestem barmanem. Taka moja robota. Powinieneś się lepiej martwić o siebie. Jesteś pewno skacowany i zmęczony, a przed tobą trzy godziny autem w jedną stronę.

– Jakoś dam radę, panie Jim. Tylko muszę się porządnie rozbudzić.

– W takim razie służyć. Co podać? – Karczmarz aż zatarł ręce.

– Na kaca szklanekę dobrej whisky, zaś na otrzeźwienie mocna kawa. A do tego przydałoby się jakieś śniadanko. – Jesse zamyślił się na chwilę, bo ostatnimi czasy codziennie jadł z rana omlet bądź jajka sadzone, co mu już lekko obrzydło, i chciał wybrać coś innego.

– Myślę, że zdecyduję się na porządną jajeczniczkę ze szczypiorkiem i niemałą ilością boczku. – Kiedy wypowiedział te słowa, z przejęcia aż pociekła mu ślina, a brzuch odezwał się wystarczająco głośno, by gospodarz go usłyszał.

– Proszę usiąść. Chwila i będzie gotowe.

Wtedy Brown zasiadł przy jednym ze stolików blisko wyjścia, czekając na swoje zamówienie. Chwilę zaś później stał się świadkiem rozmowy Richarda Warda i Boba Gordona, którzy właśnie przekroczyli próg gospody.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

MATEUSZ PTASZYŃSKI**Piłem whisky z Morrisonem w L.A.**

Miałem wczoraj piękny sen,
W którym wieczory trwały dnie,
Gwiazda nie była rozpaczna,
Poranki – cudownie rześkie.

Pamiętam, jak w upalny dzień
Piłem whisky z Morrisonem w L.A.,
Dał mi dwa bilety do raju,
A ona powiedziała – czemu nie?

Po stu próbach nam się udało
Przebić na drugą stronę,
Kochanie – zapal me cygaro,
Czekam na was w Edenie.

ANNA SŁOMIŃSKA „GENNARA”

Cieśla

Widzę starca, co na drzazgach ściera dłonie.
Podwija rękawy i zaczyna ciosać stół.
Za obiecaną wiarę, za nadzieję...
Za tę miłość i okrutny cud.

Daj mu wierzyć, że on ten ból pomieści,
Że nie zgaśnie świeca, którą trzyma boski syn.
Niech sił starczy – do końca nocy i kolejnych lat trzydzieści,
Aż na tym stole, co go starzec rzeźbi, rozleją krew.



Georges de La Tour, *Święty Józef cieśla* (fr. *Saint Joseph charpentier*), 1642
https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Saint_Joseph_Charpentier.jpg (dostęp: 25.03.2025).

MACIEJ RYDZEWSKI

jestem
bajką produkcji czechosłowackiej
kluczem pod wycieraczką
bryłą soli na meblościance

jestem
blokiem z wielkiej płyty
murem berlińskim
i żelazną kurtyną

jestem
spadkiem po dziadku
traumą pokoleniową
dezubekizacją

jestem
najpiękniejszym miastem post-PRL-u
trędowatym jak Lepper
i spleśniałym jak Lenin

GRZEGORZ REIWER

Widoczny mężczyzna

widoczny na zdjęciu
mężczyzna
ogolony gładko
nie istnieje
ma sześć palców trzy dłonie
parę oczu niewidzących
– nie masz w sobie niczego
seksualnego
– ubiorę się
– zostaw wyjdziemy na balkon
tam zaspokoisz moją ciekawość
ale zostaw resztę w spokoju
widoczny na zdjęciu mężczyzna
obraca głowę na wylot tunelu
skąd przyszedł
– miej oko na całą resztę
a cierpliwość zostaw
niezaspokojoną
widoczne są zdjęcia
oni nas widzą
brzydzą
szydzą
widoczny mężczyzna
jest oczywisty
– spróbujmy od nowa
czegoś asekualnego.

GRZEGORZ LEGAWSKI

wyrzucam dzieciństwo
do kosza na śmieci
jak zgniłe owoce

mój dziadek miał w pokoju
tacę
ze szklanymi owocami

nie dało się ich ugryźć

przynajmniej nigdy
nie zapomnę ich
smaku

ani tego
jak bolały mnie po nich
mleczaki

KRYSTIAN DOMINICZAK**Bez słowa**

powiadają że jestem niemodny

przechodzisz obok człowieka
który kiedyś

stanowił dla ciebie całe życie
całego ciebie

w erze wielkich słów

które nie wyjaśniając niczego

znaczą wszystko

mijas go

bez słowa

jak ludzie z innych czasów

znający każdą swoją bliźnę

nie rozpoznają swoich rysów

wgłębień w dawnych freskach

tamci ludzie już nie istnieją

przypadkiem błysnęli

we wspólnej czasoprzestrzeni

krocą tylko

dawno opuszczone

bezdome świątynie

obdarte z imienia

gdzieś między

od początków początku

nic nie boli

nic nie boli

jak unik

skok przez płot

pozostawienie tego

odłożenie na bok

postawienie

pozostawienie

bez słowa
wszystko albo nic
byt i niebyt
znaczą tyle
co miniony obraz
dawno zapomniane
proporcje jej dłoni
sploty bezimiennych ulic
po których
przechodzisz obok człowieka
który kiedyś był
był kiedyś
twoim życiem
życiem
które wypadło z dłoni
gdzieś na przedmieściach

BARTŁOMIEJ PACYNKAR KWIATKOWSKI

Rapsodia i Nokturn

POEMAT W DWÓCH ROZDZIAŁACH

Przedmowa

(...)

O, biada i po stokroć dzięki!
Bowiem nie zapomniałem o celu;
Celem tym będzie opowieść;
Ją tutaj spiszę, dam w podzięcie
Za to, co dotąd znalazłem i odkryłem;
I jak Kupidyn, co w nocy serca
Roznieca swym żarem i kochankę,
Tak ja o późnej porze nocnej
Przebudzę ku miłości *miłość*;
Dwie głowy zbliżę... pragnę wręcz,
Żeby wykuli własne uczucie;
Atoli tego nie zna ani anioł,
Ni romantyk, ni zwykły człowiek...

I ja w łodzi samotny go nie znam!

Nie jest to nic ze świata ludzi.

Rozdział I

Tak więc:

W prażącym słońcu, choć wczesnym brzasku
Jako zdjęty wiekiem pagór bez smaku
Stało *tam* pożółkłe, czy jesienne wzgórze;
Na nim skał czasem lub traw o poranku
Cię sunął z czarnym mrokiem w górze...
Tak nie byłoby i dziwnym zjawisko,

Gdyby to śnieg pokrył ów senne psisko.
 Lecz nie dość, iż trawę taką ma jesień,
 To ostrzył wicher, że dźgała jak szerszeń
 I w swym kształcie kładła się leniwie,
 By na podobieństwo prastarych wierzeń
 Albo włosów starca opaść na niwie;
 Oto za wzgórzem jaśniały te pola! –
 Na przodzie grota i dwa mroczne koła.

I u wzniesienia podstaw, między światłem,
 Między ciemnością zwiewającą raptem
 Ktoś w szczęśliwym wisiał upojeniu
 Jak gwiazda, która spadła i z chwastem
 Rozmawia lub sławi w dziękczynieniu;
 Która jest w tak pięknej, ach, postaci...
 Niech jej Bóg nie zabierze, świat nie straci!

Byłaż to wszak Rapsodia – młody kwiatek;
 Ją wielbili święci; ziemski baranek
 Padłby nawet, ukląkł, gdy tam dziewica
 Włosy swe spuściła na poranek;
 Jako miedź, jako przepiękna winnica –
 Tak potem jaśniała w powitaniu!
 Na dziwacznym wzgórzu, w dnia zaraniu...

O, przepadła! Niech wicher zdradzi sekret,
 Jeśli mnie nie pomylił wzrok, że dekret
 W nowym zrywie wiatru był anielski
 I biały cień czmychnął, co na oczeret¹
 Ozdobę bagna rzuca czar diabelski;
 Wróćcie wszyscy! A gdy mgły zabrały,
 Wówczas ją tylko chmury całowały.

I podniosło się dziewczę ze snu gdyby
 Bądź rozpalone jej kwarcowe szyby
 Łyskały na znak, iż poszedł kochanek;
 Toż jegoż misja, by w dziwne tryby

¹ Roślina bagienna [przyp. aut.].

Dziewczyneę wprawić i kolejny poranek
Przyniesie nic, tylko znane uśmiechy –
Będą to jej szczerze zmysłowe brechy;

Będzie potem Rapsodia u bram sfery,
Na samym czubku wzgórze, gdzie etery
Gromadzą wraz ze znanym niewidzialne;
Znane, jest to ciało – tam płacz Ginewry²
Swoj chowa grzech przez kłamstwo figlarne;
A niewidzialnym prawda to w sercu
Lub psyche w domu, czy wielkim piecu.

O, miła! O, piękniejsza niż horyzonty!
Wszak, gdy tylko pięłaś się, pod tve groty –
Twoje palce w świetle rubinowym
Wenus przedwcześnie święte słała słoty;
Te przemyły, byłaś w życiu nowym
Jako dziewica, przed miłym spotkaniem;
Na spotkanie wpierw Wenus doszła tańcem.

I «Moja miła» – Rzekłszy, blask księżycy
Związała na włosach, a piękne lica
Pomalowała piaskiem, co był na marsie;
Tedy na twarzy, gdy ciało – wieżyca,
Rumieńce przystały, aż na tarasie
Nocnego zjaw pałacu rzekła panna:
«Bywaj! Na strach, cześć, planeto kochana;

Bowiem na Ziemi, u żywota zdrojów
Trzy są cele wielkie – i jeden gotów,
By swe palce w czyimś ruszać łonie;
Jeden zimny, żeby smak znać potworów;
Jeden, aby przycisnąć sobie dłonie –
Są to moce dawne, pełnią cną duszę;
Duszy wiatr spoczął jako wzgórze susze...»

2 Ginewra zdradzała swego męża Artura. Spotykała się w tajemnicy z rycerzem Lancelotem [przyp. aut.].

Po czym zstąpiła przed piękną Rapsodię
 Tak jak instrument grający melodie
 Bądź gołębica przeklęta złym żarem;
 On świętszą łaską święcił niż psalmodie!³
 Był pośród planet cieniem oraz darem;
 Lecz na ziemi klęknęła panna – Wenus
 Na kształt królów przed dzieciąteczkiem Jezus.

A zwróciła się ładnie, ze spokojem,
 Który wzruszył dziewczę anielskim tonem;
 Ona rzekła jej: «O, pani nad trony!
 Nad sfery ziemskie, ty łyskasz nad gromem;
 W nocnej porze masz uśmiech pogodny
 I tamże oświetlasz galaktyk cienie;
 Tu łyskając – łyskasz sobą i we mnie.

«Tylko nie powiedz, że jestem boginią!
 Ja jestem proch straszny – ty jesteś wiśnią;
 Wiśnia za ludzi, za ludzkością lata,
 Za gasnącym słońcem, co ludzie winią;
 Winni raczej siebie winić, a strata,
 Iż słońce przyświeca nadal obmierzłe,
 Świeci miast ciebie! W nim pole zwiędłe...»

Ach, Rapsodio! Nasze czucie poetów,
 Miłości świetna – więc scenie eterów...
 Ach, o, Rapsodio! Szczęścia patronie;
 Ty tam tulisz bożka, z nim Werterów
 Na wzgórzu serc – na czym cichym zgonie.
 Tak w grobie sam bym leżał z tobą
 Gdyby nie fakt, że w trumnie noc dobrą.

I po trzech pieczętkach, które z Marsa
 Panna Wenus wycisnęła, jej klasa
 Jak na czar zmieniała się w śnieżynkę;
 Potem deszcz krwi spadł i jej trudna trasa
 Bagnem się stała, zatem pielgrzymkę

³ Melodia śpiewanego psalmu [przyp. aut.].

Rapsodia bez miłości już pokona.
Nad jej czołem nie wrzaśnie kruk, ni wrona.

Lecz, gdy w menstrualną parła burzę,
W tle wiatr wziął Wenus na wieczne kurze –
Tam, za wichrów, i gór, i wód tysiącem
Z ciałem przeszłości miał Cerber w futrze;
On ją pogryzł, złapał jako z prochem;
Był pies nowym pięknem, zwał go «modernizm»;
Zwij Rapsodię, że to piękna eklektyzm.

No bo czymkolwiek dzieło, co firmament
We łzy ubierze lub wywoła lament;
Ono, które swoje cuda, swe kształty
Ze starych ksiązek kradnie jako talent –
Jest to duch lepszy niżli duchy Sparty!
Tudzież Rapsodia, ładnym będąc ciałem,
Nie to, iż piękna, lecz piękna nad kałem...

I w biegu pod chmury krągłym globem
Rapsodia we krwi klękała pod rombem –
Skała ta ją uchowa, przetrwa ci deszcze,
Razem przeżyją, żeby pod toporem
Piorun skałę w pół przeciął. I dreszcze
Targnęły twarzą Rapsodii jak obrzęk;
Rapsodię kochaną wystraszył podźwięk!

*

Lecz zerknęła w górę, wokół siebie –
Była na samym czubku! A na niebie
Jako błękit lub jako cudne duchy
Bóg zdmuchnął cień jej jako w potrzebie;
Więc trawa milszą się zdała i suchy
Ją owiał wicher, zabarwił uśmiechem –
Ten lepszy niż cnota i grzechów siedem.

Siedemnaście światel milutkie słońce
Wyżej związało poprzez nieba końce;

Tam po lewej dziesięć, które jak ślepia
 Diabła płonęły i świeciły żrące;
 Tam po prawej siedem i Helios zlepia,
 Gdy bez wyjątku wszystkie są – przekleństwo...
 Ono z niebios wzbiło nad plebejstwo.

I warto wiedzieć, iż trud lub wysiłek
 Może do domu przywieść złota bryłek,
 Że wysiłkiem nazywamy tu piekło,
 Ale, gdy już płomień podpali tyłek
 Pochodnią, demona ogniem – się rzekło...
 Pokocha wasze byty anielski kochanek
 Jak istota burz bądź jak kołysanek.

Niech Rapsodię zwolnią z tego światy!!
 Niech cię, bycie, blask obejmie sprzed laty –
 Toteż opromienił zachodu promień
 Jako pod czystą łzą, zza ziemskiej kraty;
 Nagle zapadły w mrok pary wspomnień...
 Zostaje spytać: czyż zostanie światło?
 Otóż nie przeminie z mrokiem łatwo...

A i ją, dziewczę ciemna wzięła sfera
 Śród wiecznej nocy (ona zmarłych zbiera...)
 I nim się spostrzegła, że ją chwyta moc,
 Chwycił ją ból. Tędy dłoń Lucyfera
 Dziewczynę w cienistą zamęcza noc!
 Tędy miłość nową na pierwszym kroku
 Niweczy diabeł od dekad – co roku.

Więc u stóp bądź na kolanach kosmosu
 (U gwiazdy mroku, czarnych cieni torsu)
 Błade dziewicy widniało oblicze;
 Nad nim krwiste włosy z mar etosu
 Ocierały się o ciało niczym bicze.
 One ostrzyły wzajem na kształt mieczy;
 Tak tka ostrze tylko demon pajęczy.

*

I wtenczas pojęła Rapsodia,

Że życie ku życiu posyła,

Na świat lub na czas oczekiwań.

Żeby czekała krótko tylko!

Na spotkanie ze swym Nokturnem...

Na spotkanie ze swym Nokturnem

Śród cienia oraz niebieskich oczu tchnienia.

**G
A
L
E
R
I
A**



Alicja Wiśniewska, *Melancholia*.

Alicja Wiśniewska, *Z kotem*.





„Miałeś kiedyś sen, który wpławił cię paraliżem?”

siemfota, akwarela 8/15

Alicja Wiśniewska / 2023

Alicja Wiśniewska, *Miałeś kiedyś sen...*



„Oświecenie”

akwarela, akryl, 3/18

Alicja Wiśniewska ' 2024

Alicja Wiśniewska, Oświecenie 1.



Alicja Wiśniewska, *Oświecenie 2.*



"Wieża Babel"

autoryzacja 5/20

Alicja Wiśniewska 2024

Alicja Wiśniewska, *Wieża Babel*.





Alicja Wiśniewska, Zażenowanie.



Anna Kosmała, [bez tytułu].



**G
A
L
E
R
I
A
O
W**

AGATA DENICKA

Studentka pierwszego roku filologii polskiej drugiego stopnia ze specjalnością media i PR na Uniwersytecie Gdańskim. Prowadzi media społecznościowe „Dzień cytowanych”. Prywatnie i zawodowo związana z modą, skąd czerpie inspiracje – również literackie.

KRYSTIAN DOMINICZAK

Urodzony w Ostródzie. Student filologii polskiej drugiego stopnia na Uniwersytecie Gdańskim. Obronił tam pracę licencjacką pod tytułem: „*Skromne miejsce dla syna Hrudnychy*”. *Figura matki w poezji Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego*, pisaną pod kierunkiem dr. hab. Dariusza Szczukowskiego, prof. UG. Swoje teksty publicystyczne o literaturze publikuje na portalu Gdańsk Miasto Literatury. Kierownik działu artystycznego w czasopiśmie „Dzieła cytowane”. Szczególnie zainteresowany poezją, którą sam praktykuje. Po zajęciach pracuje w kawiarni.

MARI HORDEJUK

Studentka sztuki kreatywnego pisania na Uniwersytecie Gdańskim, absolwentka socjologii na UW. Naukowo interesuje się ruchami społecznymi i studiami miejskimi. Miłośniczka musicali, sama nad jednym właśnie pracuje. Od lat tworzy piosenki i sztuki teatralne, a w międzyczasie czyta Dorotę Masłowską.

Instagram: @marinitaxy

PAULINA JARMUSZKIEWICZ

Studentka pierwszego roku drugiego stopnia filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ukończyła specjalność wydawniczą, obecnie realizuje specjalność przekładową. Badawczo interesuje się przede wszystkim biografią i twórczością (głównie epistolarną) Juliusza Słowackiego. Aktualnie jest w trakcie pisania pracy magisterskiej o emigracyjnych doświadczeniach Słowackiego. Poza tym interesuje się także queer studies, poetyką przekładu oraz kulturą języka polskiego. Książki pochłania prywatnie i akademicko. W przerwach od zajęć pisze recenzje i tropi błędy językowe.

ANNA KOSMAŁA

WIKTORIA KRASZEWSKA

Studentka pierwszego roku filologii polskiej drugiego stopnia na Uniwersytecie Gdańskim, specjalizacja media i PR. Interesuje się zagadnieniami związanymi z humanistyką zaangażowaną i literaturą dziecięcą. W życiu prywatnym współprowadzi trójmiejską organi-

zaczę harcerską, spędza czas z najbliższymi, a w wolnych chwilach ucieka od codzienności w piękno polskich gór.

KACPER KUDZIA

Student pierwszego roku studiów magisterskich na filologii polskiej. Kierownik działu publicystycznego, prowadzi dział podcastowy. Interesuje się literaturą fantasy i science fiction, ich narracjami oraz światotwórstwem. Hobbystycznie gra w gry komputerowe, analizując immersję, wpływ na odbiorcę i techniki narracyjne, porównując je z literackimi pierwowzorami gatunkowymi. Uwielbia nietuzinkowe i niestandardowe podejścia do opowiadania historii. Docenia analityczne oraz krytyczne podejście do konsumowania treści, w szczególności tych rozrywkowych – od gier po filmy czy obrazy. Miłośnik studia From-Software i Stanisława Lema.

BARTŁOMIEJ PACYNKAR KWIATKOWSKI

Młody poeta, neoromantyk. Urodzony 6 września 2007 roku. Fascynat muzyki klasycznej i literatury pięknej. Dekadent. Zwolennik obiektywizmu, który cechuje jego poezję.

PAWEŁ KWIATKOWSKI

Kierownik sekcji kulturowej działu publicystyki. Urodzony 1 marca 2002 roku. Autor amatorskich filmów krótkometrażowych, członek koła naukowego teoretyków filmowych Alternatywy 3.64. Miłośnik popkultury w każdym jej okazy. Uwielbia kino złotej ery Hollywood, kocha Quentina Tarantino i b-klasowe horrory.

GRZEGORZ LEGAWSKI

Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Wiersze publikuje głównie w czasopiśmie literackich i pokonkursowych almanachach. Nałogowy, lecz krytyczny czytelnik poezji. Wielki fan i amatorski badacz twórczości Rafała Wojaczka.

MATEUSZ PTASZYŃSKI

Studiuje prawo na Wyższej Szkole Administracji i Biznesu w Gdyni. Szukając inspiracji w różnych dziedzinach sztuki, a także i poza nią, próbuje swoich sił w poezji. Posądzany o fascynację gatunkiem dark romance.

GRZEGORZ REIWER

Pisarz i scenarzysta. Student na kierunku sztuka kreatywnego pisania na Uniwersytecie Gdańskim. Autor opowiadań, między innymi *Puste noce* (magazyn „Histeria”, antologia *Wszystkie kręgi piekła. Antologia horroru*, Phantom Book, 2022), *Splawik* (magazyn „Szor-

ty”). Redaktor pierwszego zbioru opowiadań wydanej przez Mafię Literacką. Laureat wyróżnień za opowiadania w konkursach im. Wolfkego oraz im. Krystyny Kwiatkowskiej. Za opowiadanie *Podróżnik do wynajęcia* otrzymał III nagrodę w konkursie Instytutu Literatury „Snuj Story”. Od 2017 roku prowadzi w Sopocie warsztaty twórczego pisania; organizował też amatorskie grupy pisarskie w Gdyni, Gdańsku i Pucku. Recenzent wewnętrzny, a także certyfikowany redaktor merytoryczny PTWK.

MACIEJ RYDZEWSKI

ANNA „GENNARA” SŁOMIŃSKA

Magistrantka filologii polskiej, miłośniczka kawy, szarlotki i feminatywów. Uważa, że książki najlepiej czyta się deszczową nocą. Na co dzień kieruje się metodą małych kroków, bo tak można osiągnąć pozornie nieosiągalne. Od lat otacza się literaturą, wierząc, że dzięki powieściom i poezji można przeżyć nie jedno życie, a tysiące.

ALICJA WIŚNIEWSKA

Urodzona 2002 roku w Toruniu. Absolwentka Liceum Plastycznego w Bydgoszczy na specjalizacji techniki druku artystycznego. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za osiągnięcia artystyczne w latach 2021/22. Planuje związać swoją przyszłość z grafiką warsztatową oraz ilustracją. Obecnie studiuje na wydziale grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku.

MIKOŁAJ WRÓBLEWSKI

Urodzony w Gdańsku, w 2002 roku. Od liceum związany z gdańskim środowiskiem debat oraz fundacją edukacyjną Ergo. Zawsze z dumą przyznaje, że jest byłym studentem prawa. Obecnie student drugiego roku pierwszego stopnia filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Zajmuje się Kołem Naukowym Teorii Literatury oraz Klubem Debat Uniwersytetu Gdańskiego. Kapłan zespołu muzycznego Coma. Pisze, gdy zechce mu się w nocy sięgnąć po papier, głównie rozmawia z ludźmi, co uwielbia.

